KARL GJELLERUP

MŁYN NA WZGÓRZU

Karl Gjellerup
Młyn na wzgórzu

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23531026
Młyn na wzgórzu:

Аннотация

Młyn na wzgórzu to powieść autorstwa Karla Gjellerupa wydana w 1896 roku. Akcja rozgrywa się na duńskiej wyspie Falster pod koniec XIX wieku.Jakub, owdowiały młynarz, jest zakochany w pięknej Lizie. Wkrótce jednak dowiaduje się, że kobieta, którą tak kocha, ma romans z Jorgenem, parobkiem. Ta sytuacja staje się przyczynkiem do tragedii, która rozegra się w starym młynie…Powieść Młyn na wzgórzu to summa modernistycznych tendencji literackich – obecnego nihilizmu i dekadentyzmu, psychologicznego podejścia do bohaterów, a także głębokiej refleksji moralnej, związanej z charakterystyczną dla epoki postacią femme fatale.W 1917 roku Karl Gjellerup, duński dramaturg, poeta i powieściopisarz, otrzymał Nagrodę Nobla za całokształt twórczości: za „różnorodną twórczość poetycką i wzniosłe ideały”.

Содержание

Księga I 4
I 4
II 14
III 21
IV 32
V 40
VI 48
VII 58
VIII 72
Księga II 76
I 76
II 84
III 92
IV 107
V 114
VI 130
Конец ознакомительного фрагмента. 132

Karl Gjellerup
Młyn na wzgórzu

Księga I

I

Na piętrze żarnowym już się ściemniało.

Parobek młynarski zaledwie mógł dalej czytać. Siedział na worku, pochyliwszy zmarszczone czoło nad kartami książki, kiedy niekiedy podnosząc wytężone, mrugające oczy. Przypadkowy obserwator mógłby przypuścić, że ma przed sobą biednego geniusza, który musi wyzyskać każdą minutę, dającą się urwać z bezdusznej, najemnej pracy, aby zaspokoić wrodzone, palące pragnienie wiedzy. Ale nie tak to było. Poczciwy Jörgen nie był stworzony do księgi i pióra; dziełem, które studiował z tak wielkim wysiłkiem, był ilustrowany kalendarz ludowy.

To arcydzieło było najukochańszą własnością Jörgena, ponieważ otrzymał je na Boże Narodzenie w podarunku od Lizy, pięknej dziewki służebnej. W świąteczny wieczór, kiedy właśnie mieli jeść pączki, wsunęła mu chyłkiem w rękę tę książkę. Ilekroć później dotykał książki, doznawał na nowo

tego rozkosznego dreszczu, który wstrząsnął nim wówczas wobec takiego nieoczekiwanego dowodu życzliwości. Dlatego też często brał ją do ręki. W ciągu zimowych miesięcy studiował poważną i użyteczną część, gdzie znajdowało się dokładne zestawienie cen zboża z ostatnich trzech lat, co go przekonywało, że jeżeli tak dalej pójdzie, to niebawem nie opłaci się już być samodzielnym młynarzem i lepiej zadowolić się stanowiskiem pożytecznego pomocnika. Były tu również zapiski o pogodzie, które stwierdzały ponad wszelką wątpliwość, że młyn podczas wiosny i jesieni chwyta obficie wiatr śmigami, a natomiast podczas mroźnej pogody i kanikuły musi być przygotowany na brak wiatru, co zresztą ku radosnej dumie mógł Jörgen potwierdzić z własnego doświadczenia. Część rozrywkowa, złożona z anegdot i krótkich opowiadań, wystarczyła mu na wczesną wiosnę, teraz zaś, w połowie maja, zabrał się do opowieści *Czerwony Rycerz z Morskiego Zamku* – nie bez silnego bicia serca, ponieważ ten główny utwór wypełniał przeszło sześćdziesiąt wielkich, ciasno zadrukowanych stronic. Ale byłoby przecież grzechem nie przeczytać tak dużej części cennego dzieła!

Niebawem jednak jego odwaga została hojnie wynagrodzona. To, co wyczytał tutaj, było tak nadzwyczajne, że pragnął, aby było tego jeszcze raz tyle. Obcował tutaj z szlachetnymi rycerzami, którzy zawsze chadzali w żelaznych zbrojach niby żywe, okrągłe piece, którzy dokonywali najsławniejszych czynów, zwłaszcza we wschodnich krajach, gdzie mieli

chwalebny zwyczaj rozłupywać Saracenom głowy aż po szczękę albo nawet rozcinać ich aż do siodła, jeżeli byli szczególnie dobrze usposobieni. Rozmawiali z sobą o tym bardzo poufale, opróżniając jednocześnie tyle złotych pucharów, że czytającemu wprost zasychało w gardle. A kiedy wypili ostatni puchar, kładli znów nogę w strzemię i wbijali złociste ostrogi w bok szlachetnych koni, z których najszlachetniejszy, łup wojenny krzyżowego rycerza, arabski rumak, grzebał w ziemi szczerozłotymi podkowami. Jörgen nie przypuszczał nigdy, aby na świecie było tyle złota. Damy zaś chodziły, szeleszcząc jasnym jedwabiem lub strojne w barwne aksamity dosiadały konia, ale ani jedwab, ani aksamit nie mogły utaić śnieżnych wypukłości łona, dokoła którego skrzyły się drogie kamienie i perły niby krople w lesie po deszczu.

Jedna jedyna tylko okoliczność mąciła dzielnemu parobczakowi całkowitą rozkosz: były to bardzo proste, a nawet pospolite imiona. Cóż należało o tym sądzić, że główna bohaterka miała na imię Metta i że, co więcej, nazywano ją panienką Mettą? To budziło w nim pewną nieufność ku autorowi, nasuwało przypuszczenie, że nie był zbyt obeznany z epoką, jaką zamierzył przedstawić. Jörgen byłby z czystym sumieniem przysięgał, że arab miał złote podkowy – ale nic nie mogło go przekonać, że piękna córka rycerska nazywała się panną Mettą.

Pominąwszy to nieprzystojne imię, była to właśnie osoba, którą najbardziej się zajmował podczas lektury. Albowiem od

razu można było poznać, że była ona zupełnie podobna do Lizy. Drobiazgowa krytyka mogłaby wprawdzie wtrącić swoje trzy grosze, że – według autentycznego opisu – rude włosy Metty, kiedy je czesała złotym grzebieniem, spływały jej na ramiona niby ognista fala płomieni, gdy natomiast Liza miała żółte włosy wpadające nieco w zielonkawy odcień – niby wymokła słoma. Podobnie rycerska panna była posiadaczką „wdzięcznego, lecz energicznie wygiętego nosa", podczas gdy tenże organ u młynarskiej dziewki był szeroki i krótki, i raczej tym objawiał swą energię, że podciągał nieco w górę mięsistą wargę, dzięki czemu widać było parę dużych, białych zębów – a to znowu niezupełnie odpowiadało opisowi „małych ust o wąskich, zaciśniętych wargach". Także oblicze bohaterki powieści było nazbyt szlachetne, by posiadało dołeczki, podczas gdy na policzkach Lizy widniały zawsze dwa przy najlżejszym uśmiechu, trzeci zaś dołeczek ozdabiał stale brodę, nieco cofniętą w tył twarzy, jak gdyby naciśniętej zbyt silnie przy wygniataniu tego dołeczka.

Jörgen oczywiście musiałby przyznać, że te i inne jeszcze szczegóły niezupełnie zgadzały się z sobą; to jednak nie przeszkadzało bynajmniej, że nie mógł przeczytać ani jednego wiersza o Metcie, nie myśląc równocześnie o Lizie.

Najważniejsze było właśnie to, że jak wszyscy przedstawiciele męskiego rodu w książce kochali się w pannie Metcie, tak samo tutaj w młynie i majster, i on sam, i drugi parobek Chrystian, i nawet pędrak Lars, uczeń młynarski – wszyscy durzyli się w

Lizie. Ale i to także zgadzało się, na Boga, że żaden z nich nie wiedział, jak ona odnosi się do niego, a cóż dopiero mówić o innych. Albowiem Jörgen nie mógłby w żadnym wypadku przysiąc, czy ów Lars, wokół którego dziecięcych ust rosły tak rzadkie włoski, że nawet mączny pył się ich nie czepiał, czy tenże Lars nie skradł przy nadarzającej się sposobności całusa, do którego on sam tak tęsknie składał swoje wargi, ozdobione wcale wspaniałym wąsem. A właśnie opowieść stwierdzała, że panna Metta, wyszedłszy na ciemny balkon, aby ochłonąć nieco po tańcu, pocałowała w usta giermka z błękitnymi jak niezabudki oczyma, który przyniósł jej wino; uczyniła to zaś bezpośrednio po tym, kiedy swą oziębłością doprowadziła do rozpaczy najświetniejszych rycerzy.

Cóż więc dziwnego, że Jörgen z prawdziwą namiętnością śledził teraz podstępne drogi kobiece pięknej Metty, obsługując jednocześnie pracujące kamienie młyńskie – albo też zapominając o ich obsłudze. Ponieważ mógł przeczytać jednym ciągiem tylko parę stronic, był jeszcze na długi czas zaopatrzony, tym więcej że czytywał tylko na piętrze żarnowym. W chwilach wolnych od pracy zajmował się czym innym – śledził przede wszystkim podstępne drogi kobiece pięknej Lizy. Na dolnym piętrze zbyt wiele czynności przeszkadzało czytaniu: trzeba było windować i spuszczać worki, usuwać je po napełnieniu mąką i podsuwać nowe, ważyć i zapisywać do księgi. Tutaj, na górze było całkiem inaczej: wystarczało kiedy niekiedy poruszyć ręką, a młyn sam pracował; a jeżeli nawet kiedyś zabrakło tej

pomocnej ręki, to jedynym złym następstwem było tylko to, że kamienie przez jakiś czas mełły powietrze – mełły jednak w każdym wypadku.

Aczkolwiek to miejsce pobytu różniło się bardzo znacznie od wspaniałych sal, po których poruszała się panienka Metta – to jednak zdawało się Jörgenowi, że przynależy do opowieści; w ckliwy, sycący zapach mąki wkradała się nieokreślona woń rycerskiej epoki i zamkowego życia. Dzięki właściwej symetrii sześciu pionowych walców, które wznosiły się do powały[1] niby smukłe kolumny, dzięki czworgu drzwiom, z których jedne były zawsze otwarte od strony ganku, dzięki spuszczanej klapie przypominającej wejście do tajnych więzień, dzięki wreszcie otworom w powale, przez które spoglądało się po obu stronach niby przez dwie wieżyce w górę pod sam kaptur – dzięki temu wszystkiemu można było poniekąd porównywać to górne piętro z rycerskim zamczyskiem. Przestrzeń ta, wypełniona zakurzonymi drewnianymi belkami, pozbawiona wszelkiej ozdoby bardziej może przypominała średniowiecze, aniżeli przypuszczał „łaskawy czytelnik". Liza, tak samo jak prawdopodobnie Jörgen, w swym codziennym stroju roboczym była podobniejsza do prawdziwej dziewicy Metty z okresu wojen krzyżowych, niż to można było sądzić na podstawie kwiecistego opisu autora.

Wiał lekki wiatr. Wszystkie trzy kamienie młyńskie wyłączono. Pracowały tylko łuszczarka i sortownica, której

[1] *powała* – sufit. [przypis edytorski]

małe kółko warczało nieznużenie tuż przy otwartych drzwiach. Regularny szmer jakby trącej piły mieszał się z przypominającym łoskot wodospadu szumem zboża w łuszczarce, której oś hałasowała nieregularnymi uderzeniami i brzęczała żelazem okucia. Kiedy niekiedy rozlegał się ostry ton niby głos świerszcza. Głuchy poszum śmig i przytłumiony skrzyp kół na trzech górnych piętrach wtórowały tej przenikliwej muzyce piętra żarnowego.

Jörgen siedział zamyślony i wsłuchiwał się w te dźwięki, nie mając lepszego zajęcia, bo czytanie musiał przerwać. Nadaremnie przesiadał się z jednego worka na drugi, oddalając się od miejsca pracy – dalekowzroczne oczy nie rozróżniały już liter w mdłym świetle wieczornym. Gniewało go to bardzo, przerwał bowiem czytanie w strasznie zajmującym miejscu: panienka Metta wsypała właśnie truciznę do pucharu, który był przeznaczony dla narzeczonej Czerwonego Rycerza, cnotliwej panny Karen. Metta mianowicie pragnęła poślubić Czerwonego Rycerza; nie dlatego że go kochała, ale dlatego, że był on najbogatszym i najpotężniejszym rycerzem w całej okolicy. I można było przypuszczać, że bez wahania pozbędzie się również męża w ten sam sposób, skoro tylko utrwali swoje prawa pani na Morskim Zamku. Bardzo wyraźnie odgadywał to giermek Czerwonego Rycerza – właśnie ten sam, któremu polecono podać zabójczy napój tryskającej zdrowiem Karen.

Ten zbrodniczy klimat, który pojawił się niespodziewanie w opowiadaniu, wprawił Jörgena w silne podrażnienie, zwłaszcza

dzięki porównaniu, jakie mimo woli ciągle przeprowadzał. Czy też Liza byłaby zdolna uczynić coś takiego? Przeczucie demonizmu kobiecej natury wstrząsnęło nim dreszczem trwogi, chociaż poniekąd działało także pociągająco. Szczególnie zastraszało go to, że sam uważał się za giermka z powieści. Już dawno przywłaszczył sobie w wyobraźni jego fałdziste, żółte buty ze srebrnymi ostrogami, jego jedwabny kaftan i krótki aksamitny płaszcz obszyty futrem kuny, a również jego pięknie brzmiące imię Hjalmar. Trwając w tej roli, podawał niedawno z drżeniem serca strzemię Lizie – to znaczy pannie Metcie, kiedy wsiadała na swoją śnieżnobiałą klacz. A kiedy po zachodzie słońca rozbito obóz w zielonym lesie i rozpalono ogień, aby upiec upolowaną zwierzynę, rycerz posłał go z pucharem wina do panny Karen, która zmęczona jazdą wypoczywała w gronie swych przyjaciółek na uboczu na posłaniu z liści. Wówczas to zdarzyło się, że od ciemnego bukowego pnia oderwała się jakaś postać i podeszła ku niemu – a postacią tą była Metta. I nie sprzeciwił się, gdy wsypała biały proszek do pucharu, „aby napój nabrał kojącej mocy" – i zrozumiał dobrze, co znaczą te słowa, i pojął jeszcze lepiej, co mu panienka przyrzeka, zapewniając, że nie poniesie szkody, kiedy ona zostanie panią na Morskim Zamku – pojął, dlaczego uśmiechnęła się tak dziwnie słodko i złowrogo w czerwonym blasku myśliwskich ognisk, przeświecającym między ciemnymi pniami drzew… Jakże chętnie czytałby dalej, aby się dowiedzieć, czy przypadkiem nie potknie się o korzenie i nie wyleje jadowitego napoju, zanim

dojdzie do Karen. Nie odważał się rozmyślać nad tym – było to zbyt niesamowite.

A teraz siedział z książką w ręku i nasłuchiwał, jak młyn hałasuje i chrzęści, furczy i skrzypi, a te dobrze znane dźwięki mówiły do niego prozaiczną, ale kojącą mową o codziennej pracy, mówiły o tym, że lepiej jest trzymać się swego zawodu i nie pozwalać myślom, by bezczynnie błądziły po bezdrożach.

Jörgen wstał i położył kalendarz na mącznicy, wytarłszy poprzednio rękawem skrzynię. Potem wydobył z otworu w podłodze płaskie, żelazne wiadro, potrząsnął nim i uważnie obejrzał ziarno. Nie można było dojrzeć, czy jest już należycie oczyszczone, ale wydawało mu się, że pozostawało już chyba dość długo w łuszczarce.

Przesunął je ku sortownicy i wrzucił parę szufli do leja. Potem odszukał fajkę leżącą gdzieś na skrzyni i próbował zapalić zapałką przygnieciony palcem popiół w nadziei, że na dnie kryje się jeszcze reszta tytoniu. Przez niedomknięte drzwi poza sortownicą wlatywały i wylatywały wróble i ćwierkając wydziobywały rozsypane ziarna. Jörgenowi wydawało się niemal, że ptaki szydzą sobie z niego, ponieważ stoi tutaj i mozoli się, aby zgotować im biesiadę. Szczególnie zaś rozgniewał się, gdy w tej chwili oś załomotała wściekle, koło skrzypnęło jak oszalałe, a z wszystkich szpar i otworów posypała się mąka, wirując białym tumanem ku drzwiom. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby młyn mówił: „No, teraz dopiero zabieramy się ostro do pracy!”.

Teraz! Do diabła! Przez calutki dzień harował jak koń, bo w tym czasie, kiedy młynarka chorowała, młynarz ani palcem nie ruszył, a roboty było tyle, że ledwie udało się kiedy niekiedy nabić fajkę w przerwie. Dopiero mniej więcej przed godziną mógł wziąć książkę do ręki na chwilę… Co prawda, do końca dnia roboczego brakowało jeszcze pół godziny, a także trzeba było właściwie wyłuszczyć trochę więcej zboża – ale diabli wiedzą, jak tu jeszcze dalej pracować! Nie mógł po prostu zebrać myśli. Tak na przykład nie przypominał sobie, czy kontrolował już ziarno w wiadrze. Zresztą i tak nic by już nie zobaczył, musiałby chyba wynieść wiadro na galeryjkę. Nie, to doprawdy nie ma celu tak się zaharowywać.

Natomiast celowe było pogawędzić trochę z Lizą, która właśnie o tej porze sprzątała izbę czeladną. Chrystian pojechał, a dla tego głupiego chłopaka, dla Larsa, znajdzie się już jakieś zajęcie.

To, że popiół w fajce uporczywie nie chciał się zatlić, a kopciuch z tytoniem przepadł bez śladu, to umacniało go jeszcze w przeświadczeniu, że napracował się dosyć w dniu dzisiejszym.

Więc Jörgen wyszedł leniwie na galeryjkę, aby sprawdzić, czy młynarz nie kręci się gdzieś w pobliżu i czy sytuacja jest na tyle pomyślna, by można młyn zatrzymać.

II

Płuca jego, oddychające tak długo przepojoną mącznym pyłem atmosferą młyna, wypełniły się nagle świeżym powietrzem morskim, które silny wiatr północno-wschodni napędzał od strony Sundu. Wiatr zmarszczył powierzchnię wody, tak że błyszczała matowo niby zroszony metal, na niebie zaś rozpostarł wachlarzowato mgły i skłębione chmurki, które goniły się wzajemnie, jedne skąpane jeszcze w purpurze zachodu, inne już przygasłe, zielonawoszare, i wreszcie takie, których nie dosięgła jeszcze czerwień wieczoru i które słońce oświecało pełnym blaskiem. W miejscu, gdzie słońce zaszło, piętrzyła się fioletowa góra obłoków.

Ku temu niebu zwrócił się instynktownie młynarski wzrok Jörgena, aby stwierdzić, czy są jakieś oznaki, które by na podstawie doświadczenia, wzbogaconego teraz całą meteorologiczną mądrością kalendarza, umożliwiły wysnucie pewnych wniosków co do dnia jutrzejszego. Ale brakowało tych właśnie oznak, które by uradowały jego serce, zapowiadając ciszę i bezczynność. Przeciwnie, to niebo przyrzekało nie tylko „pełną czapkę wiatru", ale pełny kaptur młyński. I oko młynarskie, oko nienależące do właściciela, odwróciło się z niechęcią.

Pomiędzy błyszczącym Sundem i jaśniejącym niebem rozciągało się wybrzeże Zelandii niby olbrzymie, daleko

wysunięte wzgórze. Lasy i niwy zlewały się w jedno za gorącą purpurową zasłoną, która zacierała wszystkie szczegóły. Tylko jakiś kościół, wzniesiony na wzgórzu, sterczał białą plamą w tej masie. Wyglądał tak, jak gdyby jedna z licznych mew krążących nad Sundem zawisła w powietrzu i znieruchomiała w jednym punkcie. Z tej strony Sundu rozciągał się Falster. Tu widać było dokładnie szczegóły, ponieważ galeryjka młyna była najwyższym punktem w całym widzialnym okręgu, wyjąwszy szczyty drzew. Nie tych drzew, które tu przeważnie rosły – nie szczyty tych szerokolistnych topól, które w postaci kulistogłowych karłów ogradzały pola, aż wreszcie ostatnie ich szeregi przepełniały coraz to węższy zagon soczystozielonego żyta i oliwkowych zasiewów wiosennych i sprawiały wrażenie głów kapusty w olbrzymim ogrodzie warzywnym. Ponad takie drzewa człowiek wynosił się tutaj wysoko. Ale były także prawdziwe lasy: wszędzie wynurzały się spośród topolowych zarośli, najbliższe błyszczały świeżą, miękką zielenią młodego bukowego listowia, dalsze miały coraz bledszą barwę, wpadającą w fioletowe odcienie.

Jörgen z zadowoleniem obserwował ten dobrze znany krajobraz, nieświadomie radując się jego rozległością po wyjściu z ciemnej klatki młyna, gdzie tak długo był uwięziony. Ale raz po raz spoglądał na podwórze, gdzie kryła się przynęta. Zaraz po wyjściu na galeryjkę Jörgen zauważył, że jednokonny powozik doktora stoi przed drzwiami domu; rozważał więc, czy wobec tego jest wskazane zatrzymać młyn. Doszedł do wniosku, że nie,

i zaczął szukać jakichś śladów Lizy. Niebawem przekonał się, że nie znajdzie jej ani przy studni, ani w ogrodzie warzywnym, ani w kurniku. W domu, oczywiście, mógłby ją dostrzec tylko wtedy, gdyby stanęła przy oknach, ale były pewne niezawodne znaki: gdyby poszła do pokojów, zostawiłaby swoje drewniane trepy przy progu. Wprawdzie było sucho, ale musiała chodzić w trepach, bo trzewiki posłała do szewca; tego rodzaju drobiazgi Jörgen zawsze bacznie obserwował, mogły bowiem mieć swoje znaczenie.

Dalej zaś: w kuchni towarzyszył zawsze Lizie jej ulubieniec, biały kot Pilatus – kot zaś spacerował teraz wśród grządek ogródka, którego piękne białe sztachety zamykały z jednej strony wjazd na podwórze młyna. Pudel Karo, którym Pilatus najgłębiej pogardzał, położył się spokojnie na progu obory, czego z pewnością nie uczyniłby, gdyby Liza była wewnątrz, albowiem nie lubił zbliżać się ku niej, smutnie wspominając licznie otrzymywane kopnięcia.

Ale Liza mogła się jeszcze znajdować w piekarni, przybudowanej do kamiennej podstawy młyna. Aby przedsięwziąć przeszpiegi w tej części twierdzy, Jörgen musiał wcisnąć się poza śmigi, które obracały się przed nim z głuchym świstem, klaszcząc wesoło swymi luźnymi płaszczyznami. Drzwi piekarni były zamknięte, a ponieważ Liza miała z opieszałości przyzwyczajenie przymykania ich tylko, więc i tam nie należało jej poszukiwać.

Kiedy Jörgen powrócił wzrokiem z tej wyprawy, dostrzegł

doktora wdziewającego płaszcz w sieni, a potem wychodzącego do powozika w towarzystwie młynarza. Wysoki ponad miarę młynarz pochylił się ku niskiemu, krępemu doktorowi i rozmawiał z nim żywo, doktor natomiast potrząsał ustawicznie głową i wyciągał ramiona, jak gdyby chcąc poprawić na sobie nieco przyciasny płaszcz.

Przed bystrym wzrokiem młynarskiego parobka nie ukryło się wielkie podniecenie majstra. Jego ręka drżała i aby to utaić, szarpał krótko ostrzyżoną ciemną brodę lub klepał po karku żółtego konika. Z wielkim trudem zdołał przypiąć fartuch powozika, a kiedy tego dokonał, przystanął jeszcze, trzymając silnie prawą ręką oparcie, jak gdyby chcąc zatrzymać powozik i zadać jeszcze parę pytań.

Ale bardziej niż na młynarzu Jörgen skupił uwagę na jasnej dziewczęcej główce, która ukazała się obok w otwartym oknie: więc była w spiżarni, nie poszła jeszcze do izby czeladnej. Nic zatem nie stracił.

Dzięki temu mniej go rozgniewało niż w innych okolicznościach, że młynarz rozstawszy się ostatecznie z doktorem, łaził tu i tam po podwórzu. Na rogu białych sztachet zatrzymał się i spojrzał na drogę wiodącą z zewnątrz na podwórze między młynem i ogrodem.

Jörgen zamierzał właśnie wejść do wnętrza i jeszcze raz potrząsnąć zboże, gdy młynarz odwrócił się i zawołał:

– Jörgenie! Czy tam z góry nie widać wózka jadącego od strony Stinderup?

Parobek wzdrygnął się – nie przypuszczał, że młynarz go zauważy.

W oddali, gdzie tylko topole znaczyły drogę, posuwała się naprzód chmura z białym jądrem i wielkim ogonem jak u komety, który w górze ponad drzewami rozbłyskał złocistą mgłą.

– Tak, ktoś jedzie – meldował Jörgen – ale szybciej niż zazwyczaj chodzą nasze gniadosze[2].

Szybkim krokiem wrócił więc młynarz do domu.

Wtedy Jörgen uśmiechnął się zadowolony i spuścił łańcuch prasy – śmigi wnet przestały się poruszać. Kiedy jednak przechodził przez piętro żarnowe, żelazny pierścień na osi kręcił się jeszcze z wściekłym hałasem, jak gdyby protestował przeciwko temu przedwczesnemu zatrzymaniu młyna.

Na dolnym piętrze było już ciemno: brakowało tu drzwi wiodących na zewnątrz, a dwa małe okienka zniknęły poza barykadą worków. Całą tę przestrzeń wypełniały worki ustawione szeregiem, spiętrzone na sobie lub rozrzucone po podłodze; na jednym z worków leżał uczeń młynarski Lars, który zasnął przed półgodziną. Śniło mu się, że ulubieniec Lizy, biały kot Pilatus, który w ogóle nigdy nie zachodzi do młyna, wkradł się tym razem do wnętrza i zasiadł na środku komory, jak gdyby obejmując ją w posiadanie. Powoli kot urastał do wielkości pantery, jaką Lars widział kiedyś na jarmarku, a jednocześnie mruczał z odpowiednią siłą, tak że wreszcie zagłuszył całkowicie

[2] *gniadosz* – koń maści *gniadej*, tj. mający sierść brązową, a grzywę, ogon i dolne odcinki kończyn czarne. [przypis edytorski]

hałas młyna. Wpatrywał się w Larsa płomiennymi oczyma i oblizywał się. Lars był bardzo przerażony, ale doznawał uczucia, że pogładzenie ręką tego błyszczącego futra musi być niezwykłą rozkoszą. Nagle Pilatus przestał mruczeć i ziewnął tak straszliwie, że aż szczęki mu głośno trzasnęły.

Lars ocknął się przestraszony i zauważył w tej chwili, że młyn stoi i że ktoś schodzi na dół po trzeszczących schodach. Zerwał się szybko i zdołał jeszcze naładować worek na taczkę, zanim zjawił się Jörgen. Parobek spojrzał na chłopca surowo i karcąco – postępował tak zawsze, aby zaznaczyć dzielącą ich pozycję społeczną. Na szczęście ciemność skryła w sobie zakłopotane oblicze Larsa.

Jörgen podszedł ku oknu wychodzącemu na zachód. Poprzez brudne szybki padało jeszcze nieco wieczornego światła na księgę rachunkową leżącą na małym kantorku. Powoli odwracał kartki księgi – bynajmniej nie celem kontroli, ale z przyzwyczajenia, albowiem sądził, że takie postępowanie nadaje mu poniekąd cechę pryncypała. Prócz tego, tym razem szukał pozoru, by stanąć tu na posterunku. Pragnął się dowiedzieć, kogo Chrystian wiezie z takim pośpiechem, zależało mu także na tym, aby dosłyszeć, kiedy w przejściu rozlegnie się odgłos drewnianych trepów. Nie mogło to ujść jego uwagi, ponieważ zapadnia, służąca do windowania worków, znajdowała się tuż obok. Tylko ten głupi smarkacz niepotrzebnie hałasował taczkami, przesuwając bez końca worki.

Toteż oświadczył Larsowi, że byłoby nader pożądane, aby

zajął się pracą na wyższym piętrze. Na skromne zapytanie Larsa, czy nie można by tego odłożyć do jutra, odpowiedział ciętym zapytaniem: „A może do przyszłego roku, hę?" – a kiedy chłopiec zauważył, że może najlepiej byłoby zrobić przede wszystkim tutaj porządek, poprosił go stanowczo, by słuchał tego, co mu każą, i nie wtrącał zawsze swoich trzech groszy. Posłuszny tej doskonałej radzie Lars zdjął z belki małą blaszaną lampkę bez szkła, zapalił ją i powędrował na górę.

W tej samej chwili przyjechał wózek.

Aha! Więc to proboszcza przywieziono!

W parę minut później usłyszał upragniony stuk drewnianych trepów, a gdy zerknął poprzez szeroką szparę zapadni, dojrzał przesuwający się niebieski skrawek sukienki.

Szybko zbiegł po ciemnych schodach, pchnął silnie drzwi z przeciwnej strony przejazdu i stanął na progu izby czeladnej.

III

Liza była tam istotnie.

Obejmowała ramionami potężną pierzynę i tylko wygięte plecy i kark rysowały się wyraźnie na tle słabego światła dziennego, wpadającego przez okno z wschodniej strony. W środku izby krzyżowało się ono z wieczornym blaskiem napływającym przez wrota; po obu stronach przestrzeń ginęła w głębokim mroku, a chociaż izba nie była duża, pobielone ściany wydawały się tylko siwą mgłą okalającą ciemne zarysy łóżek, szaf, wielkiej skrzyni i rozwieszonych ubrań.

– Ach, jesteś tutaj – zawołał Jörgen, stojąc jeszcze w drzwiach i usiłując udać zdziwienie.

Liza odwróciła głowę raczej dlatego, że pierzyna chciała jej opaść na nos, niż dlatego, aby spojrzeć na Jörgena.

– Tak, jestem tu – oświadczyła i nie zwracając dłużej na niego uwagi, cisnęła pierzynę na materac i poczęła ją obrabiać mocnymi uderzeniami dłoni.

Jörgen usiadł na stołku, który przesunęła na środek izby.

– Czy wiesz, kto przyjechał? – zapytał, kiedy pierzyna przybrała normalny kształt, a hałas ucichł.

– Nie, karmiłam świnie, gdy Chrystian przyszedł, a potem nie widziałam go wcale. Zapewne je wieczerzę.

Jörgen wyraził życzenie, aby mu smakowała.

Liza poszła po poduszkę, którą cisnęła przedtem na drugie

łóżko; idąc, zatrzymała się przy okienku i spojrzała w stronę domu mieszkalnego.

– Widziałam w stajni gniadosze, dymiło się z koni jak z kotła… musiał, widać, jechać galopem.

– Być może.

Liza położyła poduszkę na właściwym miejscu, rozciągnęła prześcieradło i obetkała je mocno dookoła; robiła to wszystko z pewną starannością, a jednocześnie czekała w milczeniu, co Jörgen powie dalej. Ale on milczał uporczywie niby ktoś, kto ma w ręku wysoki atut i nie chce go wygrać, zanim nadejdzie dobra sposobność.

– Czy wiesz, kogo przywiózł? – zapytała wreszcie.

– Tak… przyjechał proboszcz.

– Jezusie! – szepnęła przerażona i odwróciła się ku niemu.

Ozwało się ciche miauczenie, coś białego poruszyło się na podłodze w głębokim mroku. Był to Pilatus, kocur, którego Jörgen dotychczas nie zauważył. Otarł się o spódnicę i mrucząc pieszczotliwie, wyciągnął szyję, tak że jego szeroka głowa, podobna w zmierzchu do łba ogromnej żmii, dotknęła niemal kolana Lizy. Wydawało się, że żółte źrenice powiększyły się i silniej świecą. Parobek doznał niesamowitego uczucia, widząc skradające się zwierzę, które niby atrybut jakiejś bogini ściśle wiązało się z Lizą. Wydawało się, jak gdyby kot przeczuwał tajemniczym instynktem, że jego pani zamierza wejść na wyższe szczeble społeczne i jak gdyby chciał z tego powodu z podwojonym zapałem wkraść się w jej łaski – w łaski tej, która

stała teraz, dysząc szybko wskutek wewnętrznego podniecenia.

– Tak, w takim razie zapewne nie potrwa to już długo – rzekł Jörgen.

– Nie… zapewne nie potrwa już długo – powtórzyła, niemile dotknięta tym, że wyraził jej własną myśl.

– A cóż powiedział doktor?

Liza pochyliła się, jak gdyby poddając się pieszczocie kota i pogłaskała zwierzę.

– Tego nie wiem.

– Jak to?… Stałaś tam przecie i podsłuchiwałaś.

– Ja? Czyś ty stracił rozum?

– O tak, w spiżarni.

– Miałam tam robotę.

– Właśnie przy oknie?

– Tak, właśnie przy samym oknie. A ty musisz zawsze gdzieś stać i wypatrywać.

Jörgen roześmiał się drwiąco.

– Podsłuchiwałam? – mówiła dalej rozgniewanym tonem. – Nie wiem tylko, dlaczego miałabym podsłuchiwać. Czy to może mnie obchodzić, czy pani będzie żyła, czy nie?

Ciągle jeszcze stała pochylona nad kotem, który rozkosznie przewrócił się na grzbiet i wpił się pazurami w jej rękaw, podczas gdy jej palce błądziły po gęstym futrze brzucha. Jasny węzeł włosów dotknął kolana Jörgena. On przechylił się teraz nieco i szepnął jej do ucha:

– Wszystko zależy od tego, jak to będziemy rozumieć, Lizo.

Dziewczyna wyprostowała się nagle i zaśmiała krótkim śmiechem.

„Czyż ja ją tak bardzo kocham?"

Nastało milczenie. Słychać było tylko prychanie kota.

– A zatem cóż doktor powiedział? – pytał Jörgen z uporem.

– Ach! Powiedział, że nie ma wiele nadziei… ale nie trzeba rozpaczać, bo wszystko jest w ręku Boga… powiedział to, co się zwykłe mówi w takich wypadkach.

– Tak, tak przypuszczałem.

– A teraz także proboszcz przyjechał.

Liza nie zastanowiła się, że jeszcze przed odwiedzinami doktora posłano po proboszcza, że zatem nie świadczy to o niczym. Dla niej przybycie proboszcza stało się kropką nad i. Teraz młynarka musi w to uwierzyć.

– Zdaje się, że młynarz przejął się strasznie słowami doktora – mówił dalej Jörgen. – Widziałem, jak mu ręce drżały.

– Och, zaledwie zdołał powstrzymać łzy… a potem ustawicznie błagał: „Musi ją pan uratować, doktorze! Nieprawdaż? Ona nie umrze?…", zupełnie jak dziecko…

– Tak, to jednak szczególne.

– No, przecież to jego żona.

– Zapewne, ale mnie się zdaje… że jeżeli ktoś ciągle ugania się za inną i jest jakby opętany… można by przypuszczać, że chyba życzy sobie, aby się jej pozbyć.

– Życzy sobie, aby się jej pozbyć? Co ty wygadujesz?

Moralne oburzenie, jakie miało się przejawić w tych słowach,

nie sprawiło bynajmniej wielkiego wrażenia na Jörgenie. Podniósł się, oparł kolano na stołku, a łokcie na poręczy i spojrzał dziewczynie ostro w oczy.

– Słuchaj no, Lizo, jeżeli ona umrze, to ja dobrze wiem, kto zostanie żoną młynarza.

– Ach, wiecznie pleciesz niedorzeczności!

– Być może… ale co wiem, to wiem i inni także wiedzą, a ty sama najlepiej.

– No, nie można nigdy przewidzieć, jak się wszystko ułoży – wtrąciła Liza. – Czy tak niechętnie widziałbyś mnie na stanowisku gospodyni?

– Nie wiem… to inna sprawa. Ale jeżeliby ona żyła albo jeżeliby inna przyszła na jej miejsce, to mogłaby się z tobą pokłócić i wydalić cię.

– A czy to sprawiłoby ci przykrość, Jörgenie?

Wypowiedziała to pytanie najczulszym głosem, a mimo zmroku Jörgen zauważył, że spogląda na niego bardzo życzliwie. Już sama myśl, że wydalono by ją z tego domu, zaparła mu niemal oddech w piersi; pod wpływem jej spojrzenia uczuł, że krew uderza mu do głowy.

– Tak, to byłoby najgorsze z wszystkiego, co mogłoby mnie spotkać – wyjąkał.

– No, w takim razie możesz być pewny, że gdyby tamta w domu wyzdrowiała, nie potrwa długo, a będę biegać z książeczką służbową.

Szepnęła te słowa bardzo dobitnym tonem, jak gdyby

było niezmiernie ważne przekonać go o konieczności śmierci młynarki. Głos jej drżał, z trudem wypowiadała słowa; wydawała się jakby pełna obaw o to, że odmienne przekonanie parobka może jej zepsuć grę, albo też jakby takie czy inne pragnienie lub prośba mogły powrócić umierającą do życia. Albowiem nie było wykluczone, że zazdrość podsunęła mu takie niedorzeczne pragnienie. Czyż nie brzmiało ono w jego słowach: „Wiem ja dobrze, kto zostanie żoną młynarza"?

Jörgen zastanowił się przez chwilę.

– Tak, ale ja mogę zawsze stąd wylecieć, jeżeli się tak młynarzowi spodoba. A to byłoby takim samym złem… dla mnie.

– Nie, Jörgenie – odpowiedziała Liza, uspokajając go. – Skoro zostanę panią domu, to i ja chyba będę mogła coś powiedzieć i nie może być o tym mowy. Pozostaniesz tutaj, dopóki ci się samemu spodoba, a ja nie przestanę troszczyć się o ciebie. Zdaje mi się, że nam wszystkim będzie tutaj dobrze.

Ostatnie słowa wypowiedziała, przeciągając nieco i nagle schwyciła Pilatusa, który znowu zaczął ocierać się o nią, podniosła go w górę i jak dziecko przycisnęła do piersi.

– Może nam być tutaj dobrze wszystkim razem, nieprawdaż Pilatusie?

Szeptała te słowa na wpół śpiewnym głosem, a kot odpowiadał jej radosnym pomrukiem, wciskając się z niewysłowionym zadowoleniem w gniazdo utworzone z miękkiego łona i ramion kobiety. Wielkie, żółte, demoniczne oczy przeszywały Jörgena.

A tuż ponad tym łbem widniała twarz Lizy; wystające kości policzkowe, krótki nos, błyszczące spod górnej wargi zęby i cofnięta w tył broda miały w sobie zawsze coś kociego, co teraz potęgowało się w tym zestawieniu. Co prawda, oczy jej nie były jasne, lecz przeciwnie – bardzo ciemne, a najczęściej prawie pozbawione blasku; w tej chwili jednak, jak zauważył, zapłonęły błyskawicami.

I Jörgen przypomniał sobie pannę Mettę i Hjalmara, jak stali oboje w nocy w bukowym lesie, a blask myśliwskiego ogniska migotał na uśmiechniętych ustach młodej damy i połyskiwał na brzegu pucharu, do którego wsypywała truciznę.

Nagle podszedł całkiem blisko ku Lizie.

– Słuchaj no, a gdybym tak ja miał młyn… taki jak wiatrak kozłowy w Utterslev… czy i w takim razie młynarka musiałaby umierać?

Zaskoczona tym pytaniem, opuściła nagle ramiona. Pilatus, przywykły do takich nagłych odmian, osunął się na podłogę, otrząsnął się i oddalił o kilka kroków od tych zbyt niespokojnych ludzi.

– Znowu pleciesz niedorzeczności. Ja nie zabijam jej przecież!

– Nie, nie! Zastanawiałem się tylko, czy nie wolałabyś być w takim razie gospodynią w *moim* młynie?

– Gdybyś miał tylko wiatrak, to wolałabym wybrać raczej młyn holenderski.

Ta praktyczna uwaga niemal rozbroiła Jörgena.

– Nie… to znaczy… nie sądziłem, że tak bardzo lubisz młynarza.

– A któż ci powiada, że *ciebie* tak bardzo lubię?

Jörgen zamilkł i westchnął z rezygnacją.

Zdjął właśnie z gwoździa swoją drewnianą fajkę i chciał otworzyć okno, aby ją wyczyścić, gdy brzmiący wściekłością syk zmusił go do odwrócenia się.

W drzwiach stał Lars. U jego nóg leżał ciemny kłębek z parą świecących plamek, a pośrodku izby Pilatus prężył grzbiet – dwaj wrogowie domowi spotkali się na spornym pasie granicznym.

Przybysz był chudy, o szarej sierści w pręgi. Przebywał prawie wyłącznie w młynie, gdzie znajdował pod dostatkiem myszy i gdzie niekiedy na górnych piętrach mógł także upolować ptaszka. Dawniej Pilatus zajmował tę intratną posadę, ale niebawem po przybyciu Lizy sprzeniewierzył się młynowi i zamieszkał w kuchni. Wzajemna sympatia związała go z dziewczyną; dzięki jej opiece stał się tłusty i leniwy, a mysz mogła mu przebiec przed nosem, nie narażając się na większe niebezpieczeństwo. Potem pewnego razu pojawił się w młynie szary kocur i zagarnął go w swe posiadanie. Nikt nie wiedział, skąd przyszedł. Miał trudny, wyjątkowo nieprzystępny charakter, nie jadł nigdy z ręki. Dlatego też nie nadano mu ludzkiego imienia, jakim się mógł chlubić Pilatus, ale wołano go powszechnym nazwaniem Kizia.

Żywił on wobec Pilatusa tę instynktowną nienawiść, jaką dzikie zwierzę, walczące o skromne pożywienie, okazuje oswojonemu, które poniża gatunek, otrzymując pokarm z

ludzkiej łaski. A znowu Pilatus w poczuciu swego dostatku spoglądał z góry na Kizię, jak na marnego proletariusza, żyjącego z pracy rąk własnych. Zresztą spotykali się bardzo rzadko i tylko w tej izbie. Ponieważ mieściła się ona w młynie naprzeciw magazynu, gdzie Kizia miał swój najlepszy rewir łowiecki, i ponieważ także tutaj pokazywały się myszy, więc Kizia mógł zaliczać ją nie bez racji do swoich terytoriów. Ale pogląd Pilatusa był także poniekąd uzasadniony, gdyż mniemał on, że izba jako miejsce zamieszkane nie odpowiada pojęciu młyna, pojęciu, które zresztą najzupełniej szanował. Toteż gdy Liza niosła strawę młynarczykom do młyna, nie szedł za nią nigdy. Ale tutaj czuł się jeszcze u siebie w domu.

– Patrzaj, jak zabawne są te dwa zwierzaki!

Zaledwie Liza to wypowiedziała, koty skoczyły już na siebie. Liza wrzasnęła i zaczęła walić poduszką w rozszalałą parę – co było zgoła bezskuteczne. Nagle jednak Lars chwycił Kizię za kark i wyrzucił za drzwi, a gdy przeciwnik zniknął z widowni, Pilatus ukrył się pod łóżkiem.

– Na Boga, że też odważyłeś się na to? – zawołała Liza. – Mógłby cię przecież strasznie pokaleczyć!

– Kizia byłby wydrapał Pilatusowi oko, a ty gniewałabyś się na mnie z tego powodu – odpowiedział Lars dobrodusznie.

– Dzielny jesteś chłopak… Pfe, ty paskudny Pilatusie, wstydź się!

– Czy skończyłeś robotę na górze? – spytał Jörgen.

– Tak.

– A na dole?

– Także.

– No, zobaczymy – burknął Jörgen niedowierzająco.

Lars jednak był tak dumny z tego, co uczynił, i z pochwały, jaką usłyszał z ust Lizy, że sposób traktowania go przez starszego parobka nie wywarł na nim zgoła żadnego wrażenia. Wsadził ręce do kieszeni i oparł się o ramę drzwi.

„Tak, bardzo chętnie byś się mnie pozbył, ale ja stoję tutaj. Wydaje ci się, że piękna Liza cię lubi, ale czyś narażał swoją skórę, aby rozłączyć walczące koty?" – myślał Lars. Jörgen zmierzył go wściekłym spojrzeniem, które jednak nie odniosłoby skutku, nawet gdyby po drodze nie zagubiło się w mroku. Natomiast spojrzenie, jakim Liza obdarowała chłopca poprzez ramię – tymczasem bowiem słała drugie łóżko – dotarło szczęśliwie do celu. „Teraz spogląda na mnie! «Jest odważny» myśli o mnie. A może myśli także: «Chętnie ucałowałabym go za to»?". Poczuł, że płoni się rumieńcem, i wzdrygnął się, gdy Liza przemówiła do niego.

– Larsie – rzekła – schowałam dla ciebie kawałek chleba z masłem i z serem i trochę piwa. Jeżeli masz na nie ochotę, znajdziesz je w czeladnej kuchni.

– Dziękuję ci, Lizo! – odparł Lars i wybiegł wzruszony do głębi tą troskliwością.

„A to się Jörgen rozzłości! Do licha! Jestem u niej w wielkich łaskach!"

„W ten sposób pozbyliśmy się go – pomyślał uradowany w

duchu Jörgen. – Jak ona to sprytnie wymyśliła, aby pozostać ze mną sam na sam".

Ale mylili się obaj. Albowiem w rzeczywistości był to chleb z masłem, na który ona sama nie miała ochoty, a piwo zaczynało już kwaśnieć.

IV

Podczas gdy Lars w czeladnej kuchni spożywał z nabożeństwem tę ucztę będącą dowodem życzliwości i rozmawiał z Chrystianem, który zjadł już swoją polewkę, ale nie miał ochoty wstawać, Jörgen siedział przy oknie, palił fajkę i opowiadał Lizie te piękne historie, jakie wyczytał w kalendarzu. Liza usiadła na łóżku i przysłuchiwała się uważnie; kiedy niekiedy okrzykiem wyrażała zdziwienie, że potrafił przeczytać i zapamiętać wszystko.

– A cóż się dalej stało? – spytała z napięciem.

– Otóż dalej już nie przeczytałem, bo zapadł mrok.

– To była zła dziewczyna.

– O tak… ale poza tym jest bardzo sympatyczna, kiedy się o tym czyta.

„Sympatyczna" – to było słowo, jakie zapamiętał z czytania. Lizę zdziwiło to wyrażenie, ale wydało się jej bardzo ładne, albowiem mogłoby i do niej się stosować.

– Ale człowiek idzie za to do piekła.

– Ta… a… k.

Jörgen nie rozmyślał nigdy zbyt dokładnie o piekle, mimo woli jednak wyobrażał sobie kobiece jego mieszkanki jako brzydkie, stare baby, bez wyjątku brodate czarownice z bajki. Toteż zaniepokoiła go bardzo myśl, że tak wdzięczne stworzenie jak Metta mogłoby tam przebywać.

– Ale tak było kiedyś, że ludzie byli bardzo źli – oświadczyła Liza, bębniąc nogami w podłogę.

– O nie, Lizo, to zdarza się i teraz! Słyszałaś zapewne o *tej*, którą kat ściął w proboszczowskim lesie koło Tostrup? To przecież niedaleko od was.

– Tak, słyszałam o takiej, która tam pono[3] straszy.

– O, to pewne. Mój ojciec widział ją kiedyś na własne oczy, gdy w jasną, księżycową noc musiał iść przez las.

– Musiał? – powtórzyła Liza drażniącym tonem zapytania i pochyliła się naprzód, aby mógł zauważyć jej wyzywający uśmiech. – Czyżby wybrał się na niedozwolone łowy?

– No tak – przyznał Jörgen – może i zdarzyło się, że ścigał jakiegoś rogacza… Nie będziesz chyba osądzać go zbyt surowo z tej przyczyny… Co, Lizo kłusowniczanko?

– Jörgenie! – krzyknęła dziewczyna tonem pełnym wyrzutu, marszcząc brwi.

– Nie gniewaj się, Lizo! Wiem, że nie lubisz tego, ale tak się jakoś złożyło przy tej sposobności, zrozum… U nas zdarzało się to zresztą tylko przypadkowo… ot, po prostu fuszerka[4].

Liza skinęła głową, potwierdzając fakt, że bywają także przygodni złodzieje, a jednocześnie dziękując za kryjące się w tej uwadze pełne szacunku uznanie dla niej, córki rodziny Vibe, w której uprawiano kłusownictwo od szeregu pokoleń z zawodowym mistrzostwem. W słowach Jörgena

[3] *pono* (gw.) – podobno. [przypis edytorski]

[4] *fuszerka* – tu: amatorstwo, nieprofesjonalna robota. [przypis edytorski]

brzmiało życzenie, by zaznaczyć pewien związek między obiema rodzinami, ale zarazem podkreślić skromnie nieporównaną wyższość rodziny Vibe. Ta delikatność zasługiwała na uznanie i została uznana.

– Tak, więc to ten fuszer wchodził nam w drogę… i to nawet w proboszczowskim lesie!… Bądź co bądź było to trochę bezczelne! Hm… I wtedy zobaczył ją naprawdę?

– Tak, najwyraźniej. Opisywał ją dokładnie, taką samą, jaką widział dziadek, kiedy ją tracono. Była tak piękna, że wszyscy płakali.

– A cóż ona właściwie uczyniła złego?

– Zamordowała swego narzeczonego, proboszcza, podawszy mu zatrute ciasto.

– W takim razie przypuszczasz może, że ja karmię tę tam zatrutym ciastem?

– Jezusie!… Nie mów tak, Lizo! Strach słuchać… zwłaszcza w ciemności.

Liza zaśmiała się. Śmiech jej brzmiał krótko, twardo.

Podniosła się, stanęła obok niego i wyjrzała przez okno. Okno było małe i nisko osadzone, więc aby tym wygodniej patrzyć, przechyliła się całkiem w kierunku Jörgena, tak że brodą dotykała prawie jego czoła, a ramię, wsparte dłonią na poręczy stoika, położyła mu na barkach. Nigdy jeszcze nie była tak blisko niego, ale za nic na świecie nie ośmieliłby się dotknąć jej swą pieszczotą. Czuł lęk przed nią, a ona wiedziała o tym – on zaś zdawał sobie sprawę, że ona to wie. Spoglądali

oboje ku domowi. W ogródku przed domem błyszczały nikłe promienie światła, błądząc po gałęziach krzewów, kładąc się na ścieżkę i gubiąc się jako majaczący połysk w trawie. Promienie te wychodziły ze szczytowego okna, gdzie zasłona była zaciągnięta. Tam wewnątrz leżała umierająca chora.

Nie. Liza nie zabijała młynarki. Co prawda przed miesiącem, kiedy się wydawało, że chora wyzdrowieje, przeszła jej przez głowę myśl, czyby nie można dopomóc chorobie, dodając coś do herbaty. Ale było to zbyt niebezpieczne, więc nie uczyniła tego. Jedynym środkiem, jaki mogłaby zdobyć, była trucizna na szczury, którą tak łatwo umiano by wykryć! Nie uczyniła tego, Bogu dzięki!… albowiem nie było to potrzebne. Teraz i tak dokona się to z całą pewnością. Proboszcz przyjechał… młynarka leżała wewnątrz i żegnała się ze światem. Nie, nie otruła tej kobiety… Czy jednak nie zatruła jej życia i czy nie utorowała jej przez to drogi do śmierci?… Ech, któż by śmiał ją obwiniać? Za to zresztą nie idzie człowiek od razu do piekła.

Takie myśli krążyły w głowie Lizy, kiedy obserwowała nikłe promienie światła, przy którym gasło życie młynarki.

Kiedy niekiedy, w regularnych odstępach, jakaś postać przesłaniała promienie, długi cień pełzał po trawie, to zbliżał się, to znowu oddalał. To młynarz, pełen niepokoju, chodził przed domem tam i z powrotem.

Lękliwa ciekawość ogarnęła Jörgena: chciał zobaczyć, jak wygląda pochylona nad nim dziewczyna. Potarł zapałkę, udając, że zapala fajkę. Nagły blask uderzył w dolną część podbródka o

gładkiej jak atłas skórze, rozbłysnął przelotnie na emalii zębów, purpurową czerwienią wdarł się do nosa i prześwietlił nozdrza, które drgały nerwowo podobnie jak u wietrzącego za śladem psa. Cień wystającej kości policzkowej pogłębił skroń, a oko cofnęło się do oczodołu, nad którym migotała niby złocisty płot zazwyczaj prawie niedostrzegalna brew. To oświetlenie z dołu, które wydobywało na jaw płaszczyzny zwykle ukryte, a przesłaniało cieniem inne, zazwyczaj najsilniej oświetlone, stwarzało poniekąd odwrotny obraz i pokazywało mu oblicze, w którym zaledwie mógł się doszukać znanych rysów i które dzięki tej na wpół poufałej obcości jednocześnie odpychało go i pociągało tajemniczo. A zwłaszcza teraz niepokoiło swą niesamowitością, gdy kolejno prawie całkiem znikało i znowu pojawiało się, coraz bardziej blade i upiorne – wyczarowywane i znowu przyćmiewane migocącym blaskiem zapałki, która upadła na podłogę, nie osiągnąwszy celu zapalenia fajki.

– Jörgenie – szepnęła Liza – czy sądzisz, że można stamtąd z pokoju zobaczyć, co się dzieje tutaj w młynie?

– Cóż przypuszczasz? Przecież oddzielają ściany.

– Albo też usłyszeć?

– Tak daleko?

– Młynarz powiada, że to możliwe.

– Zwariowałaś chyba, jeżeli w to wierzysz.

– A jednak!… Kiedy młynarz mnie pocałował, ona wiedziała o tym i omal nie umarła z tego powodu, że już się jej wiele nie należy.

– A więc młynarz całował cię?
– Tak. Raz.
– Czy to już dawno?
– Nie tak bardzo dawno.
– Mniej więcej przed miesiącem?
– Czy może chcesz zapisać w kalendarzu? – zaśmiała się.
Oboje milczeli przez parę chwil.

Myśl o tym pocałunku wzburzyła Jörgena, gniewał się na nią, że opowiada o tym tak szczerze. Ale wprost nieznośny był ten pogardliwy spokój, z jakim pochylała się nad nim, jak gdyby była starą kobietą lub jak gdyby on nie był młodym, kochającym ją chłopakiem. Dlaczego jemu miało być wzbronione to, na co sobie młynarz pozwalał? I gasząc obcasem resztkę żaru nowej zapałki, postanowił otrząsnąć się z ciążącego na nim przymusu, otoczyć ją ramieniem i rozprawić się z nią energicznie, gdyby się broniła przeciwko jego pieszczotom.

W tej samej chwili zabrzmiał w ogrodzie głos dziecięcy: „Ojcze!".

Liza wzdrygnęła się, wyprostowała i odstąpiła parę kroków.

Sprzyjający moment przeminął nadaremnie, ale Jörgen nie doznawał rozczarowania, przeciwnie, czuł pewną ulgę. W ciemności ta bliskość pięknego, krzepkiego, kobiecego ciała, którego nie widział, lecz wyczuwał tylko niby ciśnienie powietrza, ciążyła na nim jak zmora; krew wrzała w żyłach. Teraz odetchnął. Ale jednocześnie ogarnął go nieokreślony lęk; wpełzł on do izby wraz z tym głosem dziecięcym, zbolałym i

płaczliwym, który brzmiał mu jeszcze w uszach i oddziaływał na jego nastrój podobnie jak nocny krzyk sowy przed burzą.

– Przecież to okropne dla dziecka – oświadczył nagle.

– Jak to, okropne?

– Myślę o tym, że straci matkę.

– No tak, mój Boże! Takie biedne dziecko popłacze parę dni, potem zapomni.

– To dziwne, Lizo, ale mnie się zdaje, że Janek cię nie cierpi.

– Dlaczego miałby mnie nie cierpieć? – odpowiedziała w gniewie Liza. – Nie uczyniłam mu przecież nic złego, Bogu wiadomo.

– Oczywiście, ale Janek jest właśnie niezwykłym dzieckiem. Czy wiesz, co zwróciło moją uwagę?

– No?

– Z początku, kiedy Karo się tu przybłąkał, Janek nie dbał wcale o niego. Ale pewnego dnia obiłaś psa miotłą i wypędziłaś z kuchni, i wtedy chłopiec zaczął go pieścić, bawił się z nim przez cały dzień, a od tego czasu są nierozłącznymi towarzyszami.

– Bo obaj są głupimi stworzeniami.

– Dlaczego właściwie jesteś nieżyczliwie usposobiona do Kara? To przecież całkiem porządny pies.

– Kundel! Przewraca wszystko i rozpuszcza chmarę pcheł.

– Tak, pcheł ma istotnie dużo – poświadczył Jörgen – ale to nie jego wina. A z czasem oduczy się także przewracać naczynia.

– Nie, Pilatus i ja nie cierpimy Kara! Nie, nie cierpimy go… prawda, Pilatusie? – I ruchem nogi potoczyła po podłodze kota

mruczącego przytwierdzająco.

Jörgen potarł znowu zapałkę, tym razem naprawdę dlatego, aby zapalić fajkę. Potem pogrążył się w głębokim rozmyślaniu nad chaosem w młynarskim państwie, a myśli doprowadziły go do następującego wniosku:

„Tak, gdyby Janek miał szesnaście lat zamiast sześciu, nic by zapewne nie przeszkodziło, żeby Liza załatwiła się z nim tak samo jak z innymi. Ale tak jak jest, zdaje mi się, że nie bez powodu obawia się go trochę".

V

Młynarz przestał już chodzić wzdłuż szczytowej ściany.

Usiadł na niskim kopcu w ogrodzie, a Janek, który przyzywał go tak trwożnie, stał obok niego. Oparł łokcie na ramionach ojca i wpatrywał się w jego twarz. Młynarz starał się okazać mu oblicze niezachmurzone troską.

– Ojcze – pytał Janek – czy ludzie są bardzo chorzy, gdy proboszcz przychodzi do nich?

– Czemuż by tak miało być? Przecież proboszcz przychodził i dawniej do mamy.

– Czy mama nie była wówczas tak bardzo chora?

Przepojona czułością miłość rodzicielska, pragnąca możliwie najdłużej oddalać smutek od tego dziecięcego serca, była dość czujna, by nie wpaść w pułapkę, jaką zastawił Janek, zadając to pytanie z nieuświadomioną przebiegłością, podyktowaną niepokojem.

– Mama nie jest i teraz tak bardzo chora – odpowiedział. – Proboszcz lubi ją bardzo, ponieważ jest dobra i pobożna, dlatego też odwiedza ją tak często.

– Wówczas jednak przychodził piechotą lub przyjeżdżał własnym wózkiem – zauważył Janek po krótkiej chwili namysłu, porównując z uporem dawniejsze odwiedziny proboszcza z obecnymi.

Ojciec pogładził lekko główkę chłopca, nie znajdując

odpowiedzi.

– Ojcze – mówił Janek dalej – gdy proboszcz będzie odchodził, poprośmy go, niech błaga Pana Boga, aby nie zabierał nam mamy.

– Proboszcz uczyni to jutro w kościele, a wtedy wszyscy obecni będą się modlić o to razem z nim.

– A czy zabierzesz mnie także do kościoła?

– Tak, moje dziecię.

Chłopak położył głowę na kolanach ojca i milczał długo. Tymczasem młynarz rozważał, czym mógłby najlepiej rozerwać i ucieszyć Janka.

– Słuchaj, Janku, po nabożeństwie w kościele pojedziemy przez las i odwiedzimy leśniczego… Oni z pewnością będą także w kościele, a w takim razie odwieziemy ich do domu… Czy przypominasz sobie dobrą ciotkę Hannę? Kochałeś ją bardzo, kiedy była tutaj i bawiła się z tobą… Ona piecze takie smaczne małe pierniki. Zobaczysz także tę sarenkę, o której opowiadałem ci, że przybiega do ręki, gdy się na nią woła…

Janek nie objawiał wcale radości. Ojciec pochylił się nad nim. Chłopak zasnął.

Była ciepła, wiosenna noc. Wiatr ucichł, jak gdyby także ułożył się do spoczynku, ponieważ nie trzeba już było wprawiać w ruch młyna. Nieruchome śmigi sterczały jak olbrzymi cień na tle zachodniego nieba, gdzie żółtawe światło o zielonawym odcieniu rozpływało się w miękkim, przytłumionym błękicie nocy. Tam, tuż nad najwyższym szczytem śmig, błyszczała

gwiazda. Na dole, poza krzewami rozciągał się dom mieszkalny niby długi, ciemny wał. A całkiem nisko jaśniało także światło czerwieńsze i silniejsze aniżeli na niebie. Jak samotna para promieni przedzierało się poprzez krzywe pnie drzew owocowych i przenikało ku niemu. Nie był to ten sam blask, który widzieli Jörgen i Liza, a który raz po raz ciemniał wskutek niespokojnych kroków młynarza w tę i tamtą stronę. Ale i ten promień wychodził z tego samego źródła: pokój chorej znajdował się w narożniku domu i zdawało się, że bez przerwy wpija w młynarza swe świetlne oczy bez względu na to, czy młynarz wędrował między małymi grządkami ogródka, obramowanymi muszelkami, czy też ukrywał się w gęstwinie sadu – zdawało się, że ściga go palącym, gorączkowym spojrzeniem podobnym temu spojrzeniu, które ugodziło w niego, kiedy wychodził z pokoju, aby zostawić żonę sam na sam z proboszczem, a które napędziło mu wszystką krew do głowy niemym zapytaniem: „Czy idziesz teraz do niej?".

Spojrzenie to spłoniło go rumieńcem, chociaż nie zamyślał bynajmniej pójść do Lizy. Ach, gdyby to spojrzenie mogło przeniknąć w głąb jego serca, to ujrzałoby, jak daleka była w tej chwili myśl tęsknoty za tą dziewczyną. A jednak czyżby to było większą pociechą dla chorej, gdyby zobaczyła, że on się Lizy *obawia*? Czy w ogóle taka bojaźń mogła istnieć w sercu mężczyzny, którego żona prawdopodobnie nie przeżyje tej nocy? Tego był niemal pewny, ponieważ chora miała sama przeczucie zbliżającej się śmierci. Czy to rozpacz miłości z powodu grożącej

utraty wypędziła go z pokoju chorej i gnała tu i tam jak niespokojnego ducha? Czy z tego powodu trzęsły mu się ręce, drżał głos, a wargi powtarzały bezradne, dziecięce zapytania i okrzyki: „Nie może umrzeć! Prawda, panie doktorze? Ona nie umrze? Pan ją uratuje!". Niewątpliwie tkwiła w tym miłość męża, ale jeszcze silniej działała skrucha, poczucie własnej winy, wspomnienie tych chwil, kiedy to pytające spojrzenie: „Czy idziesz teraz do niej?" nie było bezpodstawne. Tkwiła w tym myśl o cierpieniach zazdrości, jakie dręczyły ją coraz silniej i doprowadzały do przekonania, że on jest bardziej winien, niż był w istocie. Tkwiło w tym wreszcie straszne przypuszczenie, że to dręczące podniecenie ducha stało się niebezpiecznym sprzymierzeńcem jej sercowej choroby i może dopomogło chorobie do przedwczesnego zwycięstwa.

Ale przede wszystkim męczyła go obawa, co się z nim samym stanie. Wydawało mu się, że odchodzi od niego dobry domowy anioł stróż i że pozostawia go samego i bezbronnego jako łatwą zdobycz na pastwę złego czaru. Albowiem wiedział aż nazbyt dobrze, jak mocny wpływ wywiera na niego Liza, a także odczuwał instynktem, że ten wpływ w żadnym razie nie prowadzi do dobrego. Dopóki żyła żona, istniało jeszcze coś, co go powstrzymywało: mógł popełniać błędy, nawet trudne do naprawienia, ale nie był jeszcze bezradny, nie pozostawał całkowicie w mocy losu. Więc w tej wątłej życiowej nici, której włókna rwały się z minuty na minutę jedno po drugim, upatrywał jedyną linę kotwiczną. Ale z chwilą jej zerwania otwierało się

nieznane, potężne morze, na którym groziły mu wszystkie burze namiętności.

Co prawda i wówczas jeszcze pozostawała kotwica ratunkowa, nazbyt słaba, niestety, by ocalić przed rzeczywistym orkanem, ale bądź co bądź wystarczająca, by dać tymczasowo pewne uspokojenie. Nawet gdyby utracił żonę, miał jeszcze swego chłopaka. Umierająca pozostawiała mu część siebie samej, przypomnienie, że nie wyzbył się jeszcze obowiązków rodzinnych. I Jörgen wyczuł zupełnie trafnie, że Liza obawia się Janka, który dzięki niewinności swego dziecięcego wieku usuwał się spod jej mocy i mógłby także ojca wyzwolić spod tego wpływu. A młynarz, obawiający się Lizy, doznawał z tego powodu – nie zdając sobie z tego sprawy – dobroczynnej pewności siebie w obecności chłopca. Teraz ulegał także temu uczuciu, czuwając nad śpiącym dzieckiem.

Wtem Janek począł oddychać niespokojnie i kwilić. Ręka ojca przesunęła się pieszczotliwie po jego główce. Chłopak przetarł oczy, westchnął i spojrzał ku gwiazdom błyszczącym ponad wierzchołkami drzew.

– Co to, Jaśku? Płakałeś przez sen.

– Wielki pies chciał mnie ukąsić…

– Śniło ci się. Czas już do łóżka – rzekł młynarz, powstając. – Chodź, zawołamy Lizę, aby ci pomogła.

– Nie, nie chcę Lizy!

– Jesteś taki śpiący.

– Dam sobie sam radę, nie jestem wcale śpiący – bronił się

Janek, prostując się i usiłując otrząsnąć się z senności. – Nie chcę Lizy – powtórzył z uporem.

Młynarz spojrzał na niego zadziwiony.

Po raz pierwszy zauważył tę niechęć dziecka do dziewczyny. I z pewną radością przeczuwał: oto mały, dzielny anioł stróż idący na pomoc trwogom.

Uniósł chłopca w ramionach i pocałował go.

– Ja sam zaniosę cię do łóżeczka, mój mały – oświadczył i ruszył ku domowi, pochylając się ostrożnie, by mokre od rosy liście nie uderzały w twarz śpiącego. Albowiem mała dziecięca główka spoczęła natychmiast na jego ramieniu ociężała snem, a spokojny oddech świadczył o głębokim śnie. Chłopak nie przebudził się nawet wówczas, gdy ojciec rozbierał go i układał w łóżku.

Dopiero gdy już to uczynił, zastanowił się, że było to właściwie zakłócenie domowego porządku i że Janek już od dawna powinien był leżeć w łóżku. Oto skutki, gdy nie ma w domu gospodyni.

Co teraz robi czeladź? Na górze w młynie było całkiem ciemno. Chrystian przygotowuje się zapewne, aby odwieźć proboszcza do domu. Ale Jörgen?… i Liza?

Na dole młyna w izbie świeciło się.

Wahając się, młynarz przeszedł przez podwórze ku wjazdowi między ogrodem kwiatowym a młynem. Na chwilę zatrzymał się niezdecydowany, a potem wyszedł na gościniec – aby zobaczyć, czy ciemność utrudni jazdę i czy chmury gromadzące

się od zachodu zagrażają burzą; bądź co bądź postanowił dać proboszczowi parasol. A potem rozgniewał się sam na siebie z tego powodu, że się okłamuje! Istotnie, nic go nie pociągało ku Lizie, na pewno nie chciał iść do niej, najchętniej nie oglądałby jej zupełnie. Ale czyż mógł doprawdy pozwolić na to, aby siedziała razem z Jörgenem? Bo *ona* była na pewno w izbie, a *jego* nigdzie nie było widać.

Zapach kiepskiego chłopskiego tytoniu przewionął koło niego, zatruwając świeżą woń łąk. Chłodny wiatr wiał od bramy młyna, naprzeciw której właśnie stanął. W łukowatej ramie małego tunelu odcinała się na bladym tle północnego nieba sylweta pary koni stojących z przeciwnej strony podwórza przed stajnią, której brama, otwarta na ścieżaj, skrywała tył jednego ze zwierząt. Na środek drogi, wiodącej popod bramę, padał z prawej strony czerwonawy blask idący z izby – a blask ten wyglądał jak rozwiany dym.

Powziąwszy szybkie postanowienie, młynarz wszedł do wnętrza.

Łojowa świeczka stojąca na stołku rzucała nieforemny cień dziewczyny na brudnobiałą ścianę i rysowała barokowo wygiętą ciemną sylwetkę na niskiej powale. Liza położyła właśnie czyste prześcieradło na łóżko jeszcze niewygładzone; cała przestrzeń była wypełniona wirującymi chmurami dymu. Jörgen stał obok dziewczyny, opierając się swobodnie o przednią poręcz łóżka i wypuszczał kłęby dymu. Gdy młynarz stanął w drzwiach, parobek wzdrygnął się nieco – tak się przynajmniej młynarzowi

wydawało.

– Lizo – rzekł – trzeba przygotować trochę herbaty dla proboszcza… Jak widzę, Chrystian zaprzęga już konie.

– Ksiądz proboszcz nie pija przecież nigdy herbaty.

– Może właśnie dzisiaj się napije… jest już chłodno… a zawsze dobrze jest wypić coś gorącego. Tutaj zdążysz jeszcze zrobić porządek.

– Dobrze – odpowiedziała Liza obojętnie, porzuciła rozpoczętą pracę i wyszła.

Młynarz powędrował powoli za nią. Gniewał się sam na siebie. Przecież to było głupstwo, że nie kazał jej przedtem sprzątnąć w izbie – jedno łóżko było już posłane. Teraz, oczywiście, Liza musi tu powrócić, a wtedy on nie będzie mógł już obwąchiwać i pilnować, jak się zachowują oboje z Jörgenem. Tak jest – „obwąchiwać" to było właściwe określenie, którego mu nie oszczędzą! To bowiem było najgorsze, że przejrzeli jego zamiary. Dlatego zawstydził się i zająknął. Jörgen chrząknął, jak gdyby właśnie w tej chwili musiał zakrztusić się dymem w gardle. W obojętnej zgodliwości Lizy tkwiło również źle ukrywane lekceważenie. Nawet Pilatus, który zawsze szedł w ślady swojej pani – nawet on szydził z niego, kołysząc miękko ogonem na kształt wielkiego białego znaku zapytania widniejącego przed nim w mroku.

VI

Proboszcz odjechał, a młynarz stał jeszcze ciągle w bramie wjazdowej, spoglądając za wozem.

Zaledwie można go było dostrzec. Ale młynarz ciągle trwał w bramie i spoglądał na gościniec, chociaż deszcz padał coraz bardziej rzęsiście: stukał w wielkie liście topoli, bębnił po ganku i ściekał miękko i monotonnie po gęstej strzesze młyna.

Młynarz wyczuwał jeszcze pocieszający uścisk dłoni proboszcza, widział jego zasmucone spojrzenie.

„Co też Chrystyna mówiła o mnie? Ach, tak, było dość przyczyn, by skarżyć się na mnie. Nie byłem takim mężem, jak należało – zwłaszcza w ostatniej połowie roku! Liza opętała mnie całkowicie – nie wiem, jak się to stało… Poczuwam się do ciężkiej winy względem Chrystyny, a teraz ona umiera i nie można już naprawić złego!”

Wreszcie odwrócił się i chwiejnym krokiem ruszył ku domowi. Obawiał się iść do żony, a jednak tęsknił za tym, by ją zobaczyć – troszczył się o nią naprawdę. Byleby tylko długa rozmowa z proboszczem nie oddziałała niekorzystnie na jej zdrowie!

Drzwi z ciemnego pokoju mieszkalnego do sypialni chorej stały otworem. Widać było tylko pasek tapety – takiej niepokojącej tapety, jakby umyślnie dobranej po to, aby rozgorączkowany wzrok podczas długich godzin obłożnej

choroby błądził po niej i odnajdywał kalejdoskopowe obrazy: fantastyczne głowy zwierzęce z brodą i rogami, potworne kwiaty, torsy ludzkie, figury geometryczne. Obawiał się spojrzenia żony, gdy odwróci się od tych pustych obrazów i skieruje się ku niemu z tym samym wiecznie zapytaniem: „Czy przychodzisz teraz od niej?".

I czyż mógł wytrzymać takie spojrzenie, nie potęgując podejrzeń i nie zatruwając żonie tych chwil… może już ostatnich?

Ale mylił się. Spojrzenie, jakim go powitała, było spokojne i bynajmniej nie badawcze. Łagodnie i szczerze spoglądały jasne oczy otoczone fioletowymi obwódkami. Oczy były ukryte w cieniu, lampę bowiem ustawiono poza wielkim dzbanem z wodą, aby światło nie raziło chorej.

Młynarz, uśmiechając się, skinął jej głową. Wielki ciężar spadł mu z serca. Usiadł obok niej i ujął jej lewą rękę spoczywającą na pierzynie, przeciwko której doktor nadaremnie protestował. Chociaż gorączkowała, a noce były już ciepłe, to jednak młynarka uważałaby to za lekceważenie, gdyby jej nie przykryto uczciwą pierzyną. Ręka jej była przed rokiem silna, nieco zaczerwieniona i spierzchnięta, teraz zaś była chuda i biała, pokryta gładką, niemal przeźroczystą skórą – ręka nazbyt delikatna dla młynarki.

– Czy deszcz pada? – zapytała chora. – Twój surdut zupełnie wilgotny.

– Tak, wydaje się, że spadnie porządny deszcz. Dałem

proboszczowi parasol.

– Teraz słyszę już… Niechaj pada, przyda się zasiewom.

Zasiewom się przyda! Zanim wczesne zboże się okłosi, zanim oziminy zakwitną, ciało jej zniknie w ziemi, z której kiełkuje wszelakie ziarno. A jednak myślała jeszcze o zasiewach. O ileż bardziej musiała się troszczyć o tych, których pozostawiała! Zapewne rozmyślała nad tym, czy im będzie dobrze, kiedy jej już zabraknie! Uczuł, że łzy napływają mu do oczu, i zaciął się w sobie, aby nie spłynęły po policzkach i nie zdradziły jego myśli.

– Jak się teraz czujesz Chrystyno? – zapytał.

– Dziękuję, teraz zupełnie dobrze.

– Obawiałem się, że tak długa rozmowa z proboszczem może cię zmęczyć – dodał, jak gdyby miał na myśli tylko fizyczne natężenie i jak gdyby treść tej rozmowy nie różniła się od zwyczajnej pogawędki z proboszczem.

– Ach nie, jestem bardzo rada, że rozmówiłam się z nim, bardzo mi to pomogło.

– W takim razie nie odczuwasz bólu?

– Ach tak, oczywiście, boli jeszcze trochę… Ale inaczej aniżeli poprzednio… wydaje się, jakby ból utracił moc nade mną… Jeżeli człowiek pożegna się ze światem i jeżeli całkowicie zwróci myśl ku dobremu Bogu i ku wspaniałości, jaką nam przygotowuje, nam wszystkim wierzącym w Chrystusa Pana i Jego słowa… wówczas nie bardzo już się troszczy o to, co się dzieje z ciałem… nieraz wydaje się nawet, że się już nie wyczuwa cielesności… A tak samo dzieje się i z życiem; wydaje się nic

nieznaczące, a przynajmniej te smutki, które nas bolały, nie bolą już, kiedy się leży na łożu śmierci.

„To, co nas bolało" – młynarz wiedział aż nazbyt dobrze, co przez to rozumie. Nurtująca go skrucha i tkliwość jej słów, które w swej prostocie wydawały się już czymś pozaziemskim, pozbawiły go panowania nad samym sobą. Rzucił się na łóżko, łzy trysnęły mu z oczu i zwilżyły jej ręce, które ściskał w swych dłoniach.

– Nie! Nie! Chrystyno! Ty nie umrzesz… Przekonasz się, że wyzdrowiejesz… Dlatego też nie odczuwasz już tak bardzo bólu… Zobaczysz, że stan zdrowia się polepszy, że będzie zupełnie dobrze… Przeżyjemy jeszcze wspólnie piękne dni!

Niemal wierzył sam we własne słowa. Przecież inni, złożeni znacznie gorszą niemocą, odzyskiwali zdrowie. To było przecież najważniejsze. Wszystko będzie jeszcze dobrze. Czym była dla niego Liza w tej chwili? Oddali ją niezwłocznie, skoro tylko znajdzie inną służącą. Pozostanie tu ze swą dobrą żoną i z Jaśkiem. Czegóż potrzeba więcej?

Chora potrząsnęła głową.

– Nie należy się tak przejmować, Jakubie, rozpacz nic nie pomoże, wszystko jest wolą bożą, wiemy to przecież. Lepiej jest patrzyć na to oczyma rzeczywistości i spokojnie o tym rozmawiać.

Ale właśnie myśl, że można by mówić o tym, przerażała młynarza.

– Nie, nie powinnaś mówić właśnie o tym – zapalił się. Doktor

zwracał także na to uwagę: „Byleby tylko nie wbijała sobie w głowę myśli, że musi umrzeć, to byłoby najgorsze w jej obecnym stanie. Taka *idée fixe* mogłaby ją zabić, chociażby nawet miała możność życia". Tak powiedział. – Nie, nie powinnaś myśleć o śmierci… – ciągnął młynarz. – Nie sprzeciwiałem się bynajmniej twojej duchowej rozmowie z proboszczem, to było nawet słuszne i oddziałało korzystnie na ciebie, jak sama powiadasz. Ale teraz nie należy już o tym rozmyślać. Pomyśl raczej, ile to będzie roboty, kiedy wyzdrowiejesz i będziesz mogła znowu jąć się pracy!

Chrystyna uśmiechnęła się pobłażliwie, jak się śmieje ktoś z upartego dziecka, któremu jednak nie chce wyrządzić zbyt wielkiej przykrości.

– Mówmy więc tylko o tym, co się może zdarzyć, gdy mnie zabraknie, a ty ożenisz się powtórnie.

Młynarz wzdrygnął się… To był właśnie ten temat, którego się obawiał.

Jakiś król zawołał pono z płaczem w podobnej sytuacji: *Ah, non, non, jamais! Je prendrais une madîtresse*[5]! Młynarz jednak zadowolił się wstrząśnięciem głową, przeczącym poruszeniem ręki i urywanym jękiem, dowodząc tym, jak daleki jest od myśli, by swemu młynarskiemu królestwu dać nową królową… Że kochanka – a w każdym razie także pani – znajduje się w pobliżu, o tym wiedział nazbyt dobrze. Jego żona wiedziała o tym również

[5] *Ah, non (…) madîtresse* (fr.) – Ach nie, nigdy! Wezmę kochankę. [przypis tłumacza]

i dlatego z takim uporem wysuwała ten temat, obserwując go znowu tym badawczym spojrzeniem, w którym krył się jednak teraz błysk na wpół ironicznej troski.

– A jednak… ożenisz się powtórnie… jesteś jeszcze młody… a młyn potrzebuje gospodyni… W domu, gdzie brak kobiety, nie dzieje się dobrze… Tak stać się musi… Ale sądzę, że żeniąc się powtórnie powinieneś pomyśleć także i o tym, aby Janek dostał dobrą matkę… to bardzo ważne dla takiego biednego dzieciaka. I jeżeli znajdziesz dziewczynę, która ci się spodoba, ale zauważysz, że Janek jej nie znosi, to lepiej od razu wybij ją sobie z głowy. Jest dużo dziewcząt na świecie, które chętnie wyjdą za ciebie, a nie potrzebujesz przecież ubiegać się o pieniądze ani o to, co mogłaby ci wnieść w posagu. Wdowiec to co innego aniżeli kawaler, on ma już wszystko.

Młynarz potwierdził odruchowo. Nie wątpił w to, że Chrystyna zauważyła już dawno niechęć, jaką Janek widocznie żywił wobec Lizy, może nawet zaszczepiła mu ją sama albo też może niechęć ta drogą sympatii przeszła z matki na dziecko. Słowa te zwracały się zatem przeciwko Lizie. Chrystyna obawiała się, że mógłby się ożenić z tą dziewczyną; ta nowa perspektywa zdumiała go i przeraziła jednocześnie. Nigdy jeszcze – i to właśnie dziwne – nie pomyślał o możliwości poślubienia Lizy; uświadamiał sobie tylko, że coraz głębiej pogrąża się w namiętności, że dziewczyna ma go całkowicie w swojej mocy i że ona to będzie tą, która właściwie obejmie rządy w młynie – z czego jednak nie może wyniknąć ani zaszczytna,

ani przyjemna sytuacja.

Ale właśnie chcąc zapobiec temu, Chrystyna zatroszczyła się o to, aby wprowadził w dom zacną kobietę. Mówiła bowiem dalej o jego powtórnym ożenku jakby o czymś już postanowionym i szczególnie polecała mu, aby zwrócił uwagę, czy dziewczyna, którą wybierze, ma pobożny, chrześcijański charakter i czy pilnie uczęszcza do kościoła. Albowiem taka będzie również troskliwie wypełniać domowe obowiązki. Nie zaszkodzi, jeżeliby nawet była zbyt religijna. Co prawda bywają i takie, które doprowadzają religijność do przesady i są nazbyt surowe. To oczywiście powoduje pewne niedogodności w życiu codziennym, ale lepsze już to niż brak religijności. A może nawet tacy ludzie mają słuszność, bo na świecie krzewi się grzech i niemoralność.

Gdy tak mówiła, mężowi jej wydawało się, że mówi o pewnej określonej i upatrzonej osobie, mianowicie o Hannie, siostrze leśniczego. Rodzeństwo należało do bractwa „wewnętrznego posłannictwa", a u leśniczego, który był o parę lat młodszy od młynarza, przejawiał się dość wyraźnie fanatyczny pierwiastek tego kierunku duchowego. Z początku zrażało to nawet młynarza, kiedy poznał go przed paroma laty. Ale Chrystyna stała się od razu zwolenniczką tej „intelektualnej znajomości".

Leśniczy Christensen był, co prawda, jeszcze mniej wykształcony książkowo aniżeli młynarz, ponieważ czytywał tylko umoralniające broszury, ale pietystyczna religijność, która łatwo może stać się wrogiem najwyższego wyszkolenia umysłu,

bywa zawsze podłożem duchowego kształcenia się i samą swoją istotą podnosi wyznawcę wysoko ponad tych ludzi, którzy gonią wyłącznie za materialnymi interesami i zmysłowymi przyjemnościami. Ostatecznie więc poczciwa młynarka nie błądziła tak bardzo w swym określeniu intelektualnego stosunku.

Natomiast siostra leśniczego podczas paroletniego pobytu u krewnych w Kopenhadze zasmakowała także w świeckich książkach, jeżeli ożywiał je dobry i szlachetny duch, nauczyła się również grać na fortepianie i potrafiła wykonywać na pianinie w leśniczówce nie tylko chorały i pobożne pieśni, ale także drobne świeckie utwory muzyczne. Tak, trudno byłoby temu zaprzeczyć. Hanna była najlepszą z dziewcząt, jakie mógłby poślubić – zwłaszcza że miała piękną twarzyczkę, w której rysach odzwierciedlała się wyraźnie jej pobożna i radosna natura, i była ładnych, drobnych kształtów.

Kiedy więc Chrystyna zapytała wreszcie z natarczywą powagą: „Czy przyrzekasz mi to Jakubie?" – a on ściskając jej rękę, odpowiedział: „Tak jest, Chrystyno", wydało mu się – chociaż nie padło wcale nazwisko – że nie tylko wyrzeka się Lizy, ale że jednocześnie zaręcza się z Hanną z leśniczówki. I mimo cichej, uroczystej chwili, mimo że cień śmierci padł już między nimi, młynarz doznał dziwnego niepokoju jak człowiek, przed którym otwarły się nagle całkiem nowe drogi życia.

Chora natomiast uspokoiła się widocznie. Opadła głębiej na poduszki i zamknęła oczy znużona rozmową. Potem poprosiła go, aby przeczytał jej z Nowego Testamentu kazanie na górze

wedle Mateusza… Młynarz począł czytać, jak mógł najlepiej, ale jego myśli goniły z dala od świętych słów Ewangelii. Połączenie religijnej łagodności i religijnej surowości wyczarowało mu przed oczyma obraz Hanny, obraz, który i tak już unosił się w pobliżu… Ona powinna była to czytać – w jej ustach nabrałyby te słowa prawdziwego, serdecznego brzmienia, podczas gdy z jego warg wychodziły sucho jak lekcja wygłaszana w szkole.

Nagle, niespodziewanie słowa te zwróciły się przeciwko niemu samemu niby niedający się odeprzeć wyrok.

Czytał:

„Słyszeliście, iż powiedziano starym: Nie będziesz cudzołożył. A ja powiadam wam, iż wszelki, który patrzy na niewiastę, aby jej pożądał, już ją scudzołożył w sercu swoim".

Język mu skołczał. Nie mógł wypowiedzieć ani słowa więcej, chociaż bardzo pragnął. Czuł, że tym milczeniem sam się oskarża, a nie śmiał spojrzeć na żonę… Potem uczuł nagle chęć, aby szczerze rozmówić się z nią o tym, co tak troskliwie przemilczali – chciał wyznać jej, że słowa Pana potępiają go; chciał wyspowiadać się z swych niedorzecznych i grzesznych myśli i błagać ją o przebaczenie, którego by mu na pewno nie odmówiła. Umocnił się w postanowieniu, i spojrzał na nią, otwierając już wargi do wyznania. Ale jej oczy, które jak mniemał – wpatrują się w niego badawczo, były zamknięte; twarz była niemal bez wyrazu. Pochylił się nad nią i nasłuchiwał: oddech dowodził, że śpi spokojnie.

On zaś nie wiedział, czy cieszyć się z tej ulgi, czy też żałować,

że korzystna sposobność przeminęła nadaremnie.

VII

Młynarz siedział bez ruchu i obserwował śpiącą.

Twarz jej obrzmiała nieco w następstwie wodnej puchliny. Ale przyćmione oświetlenie łagodziło tę chorobliwą okrągłość kształtów – przypomniał sobie jej twarz z czasów dzieciństwa. Znali się oboje, jak daleko mógł sięgnąć pamięcią. Byli w równym wieku, razem chodzili do szkoły, razem przygotowywali się do konfirmacji. Okazały dwór jej rodziców był oddalony zaledwie o pięć minut drogi od młyna na wzgórzu. Nazywał się *Smoczym Dworem*. Bynajmniej nie dlatego, jakoby to miejsce lub sama budowla odznaczały się czymś fantastycznym lub strasznym. Nazywano go tak wedle miejscowego obyczaju, który bez żadnej słusznej przyczyny ochrzcił najbliższą posiadłość mianem *Lisiego Dworu*, a nieco dalszą mianem *Zajęczego Dworu*. Od niepamiętnych czasów właściciel nazywał się popularnie *Smokiem*, a dwór *Smoczym Dworem*. A pytanie, czy dwór nosił nazwę właściciela, czy właściciel nazwę dworu, równie trudno byłoby rozstrzygnąć jak problem, co było pierwej – czy kura, czy jajko.

Smok i młynarz ze wzgórza żyli w przyjaźni – od niepamiętnych czasów zawsze tak bywało, był to poniekąd związek dwóch dworów znacznie silniejszy niż przypadkowe osobiste uczucia. Oczywiście, dzieci żyły także w przyjaźni – mały Jakubek młynarza i Chrystyna Smoka. Każde z nich

otwierało przed rówieśnikiem swój własny świat. Zwłaszcza młyn dzięki swym wielu pomieszczeniom i niezwykłym urządzeniom był dla małej Chrystyny prawdziwym światem cudów. Jakub musiał pokazywać jej i wyjaśniać wszystko, aż wreszcie dziewczynka znała całe sześć pięter jak własny dom, poczynając od składów, gdzie tak miło było zanurzyć ręce w chłodny pył pszenicznej mąki, aż do kaptura, gdzie kręciła się ogromna oś dębowa, a połączone z nią koła wprawiały w ruch całe urządzenie młyna.

Najwyższe piętro było najmilszym miejscem pobytu dla dzieci. Wolały przebywać w tej niewielkiej, zamkniętej przestrzeni, gdzie zaledwie można było się poruszać, aniżeli na piętrze żarnowym, otoczonym galeriami; był to teren wesołych wyścigów, gdzie pomiędzy czterema mącznicami grało się także świetnie w chowankę. Tam na dole pracował zawsze któryś z czeladników młynarskich, tutaj dzieci były same z sobą, ukryte przed światem. Poza tym stąd nie było już dalej drogi, więc zawędrowawszy na górę, dzieci musiały pozostać w kapturze. Przypominał on olbrzymie przewrócone ptasie gniazdo, a dokoła w strzesze kryło się mnóstwo prawdziwych gniazd; ptaszki ćwierkały, piszczały, wlatywały i wylatywały, a mała Chrystyna nieraz klaskała w dłonie z wielkiej radości.

Ale najbardziej może pociągała ich do kaptura słodycz zakazanego owocu; właściwie nie pozwalano im tam chodzić, ponieważ przebywanie w tym miejscu było poniekąd niebezpieczne. Ale parobek młynarski patrzył przez palce, a

zresztą zawsze zwoływał dzieci na dół, kiedy przesuwano kaptur. Tylko raz – wyjątkowo – zezwolono im pozostać na górze w takiej chwili, lecz dzieci musiały święcie przyrzec, że nie poruszą się na krok z wyznaczonego im miejsca – chociaż właściwie z tej strony osi nie groziło im niebezpieczeństwo. Ale kto się nie naraża, temu tym pewniej nic nie grozi. Stali więc tam oboje w wyczekującym napięciu, przytuleni do siebie. I nagle rozpoczęły się dziwy. Aż do wysokości ich głów wszystko pozostało nieruchome, natomiast powyżej kaptur obracał się – powoli, krótkimi posunięciami. Niesamowite wrażenie wywierało przede wszystkim potężne ściskadło, o którym Jakub już nieraz opowiadał Chrystynie. Gdy na dole na galerii rozluźniono łańcuch, pierścień ściskadła zaciskał koło kaptura i młyn zatrzymywał się. Ta potężna belka posuwała się teraz groźnym ruchem, przed którym nie było obrony.

– Gdybyśmy stali po tamtej stronie, zostalibyśmy zgnieceni – oświadczyła Chrystyna.

– Ach, moglibyśmy uciec. To tylko Jens udaje mądralę i dlatego przykazał nam nie ruszać się z miejsca.

– Ale gdybyśmy nie mogli uciec, belka przygniotłaby nas tam do ściany – upierała się Chrystyna, drżąc rozkoszą okropności właściwą dziecku i kobiecie.

Niebawem znowu kaptur znieruchomiał. Dokonano tylko nieznacznego obrotu. Bądź co bądź wyglądając przez otwór kaptura, można było to zauważyć; poprzednio okienko było zwrócone ku rodzinnemu domowi Chrystyny, widać było przez

nie wydmy pól, teraz otwierało się ku posiadłości Larsa Peersena.

To okienko, przez które widniał najszerszy horyzont na całą okolicę, polubiły dzieci ogromnie. Co prawda, widok ograniczał się zawsze tylko do jednego odcinka horyzontu, ale odmiana bywała częsta. Jednego dnia spoglądało się w głąb lądu i można było naliczyć osiem kościołów i dwanaście młynów. Następnego dnia, gdy wiał wiatr od strony lądu, przed oczyma rozpościerał się po obu stronach Sund, zapełniony posuwającymi się powoli naprzód tratwami z owocem i statkami, a daleko poza zwierciadłem wody wzrok przenikał w pagórkowatą Zelandię niby w inną część świata o odmiennym charakterze. Był to niejako olbrzymi stereoskop należący wyłącznie do nich.

Pewnego dnia Chrystyna zadała mu zagadkę:

„Co to za okno, które zawsze stoi otworem, a przez które wiatr nigdy nie wieje?"

Nadaremnie silił się odgadnąć, a ona drażniła go szyderstwem: jest widocznie za głupi, bo każdy inny człowiek odgadłby natychmiast. I kiedy wreszcie powiedziała rozwiązanie, zdumiewał się i długo nie chciał wierzyć, że sama wymyśliła tę zagadkę. Potem zaś – po raz pierwszy – zrozumiał, że jest mądrzejsza od niego…

Dwór wiejski nie jest bynajmniej takim skarbem wspaniałości jak młyn. Ale rodzinne miejsce Chrystyny imponowało młynarczykowi niejednym, zwłaszcza że młyn na wzgórzu nie posiadał ani skrawka roli. Jazda na chwiejącym się wozie

naładowanym sianem, wiązanie snopów, znoszenie żniwiarzom posiłku i wspólne spożywanie z nimi darów bożych, plecenie gniazd ze złotych źdźbeł niwy – to były radości, jakimi przyjaciółka płaciła mu za przyjemności przeżywane na piętrze żarnowym pod kapturem.

Po konfirmacji rzadziej nadarzała się sposobność do spotkań. Kiedy jednak został pomocnikiem młynarskim, widywali się regularnie, chociaż tylko przelotnie. Dwa razy w ciągu tygodnia zajeżdżał wozem pod Smoczy Dwór i zawsze ona odbierała gorące jeszcze, pachnące razowe chleby. Przy sposobności zapytywała, jak mu się powodzi, czy rodzice są zdrowi; zdarzało się, że on opowiedział jej jakąś godną uwagi nowinę z młyna, na przykład, że pytle pszeniczne pokryto nową siatką jedwabną, którą sporządzono daleko we Włoszech i która kosztowała czterdzieści koron. Niewiele było tematu do rozmowy; na pogawędki nie było czasu, bo oboje mieli pracy z okładem.

Kiedy Jakub miał dwadzieścia pięć lat, zmarł jego ojciec, a on odziedziczył młyn. Wówczas złożyło się tak samo przez się, że oświadczył się o rękę Chrystyny i otrzymał ją. Trudno było rozstrzygnąć, kiedy ich dziecięca przyjaźń przemieniła się w uczucie miłości i czy w ogóle ta przemiana się dokonała. Ale nikt z krewnych i sąsiadów nie wątpił, że powinni się pobrać, a oni sami również w to nie wątpili. Sytuacja upodabniała się może najbardziej do sytuacji księcia i księżniczki w dwóch sąsiednich państwach, których polityka i tradycje zalecają rodzinny związek, zwłaszcza gdy wzajemna skłonność młodych

ku sobie sprzyja połączeniu się. Młyn był piękny i posag Chrystyny był piękny; młyn i dwór były wygodnie położone obok siebie jakby na wypadek, gdyby miały się stać dziedzictwem jednego spadkobiercy. Jakub był ładnym chłopcem, a trudno byłoby znaleźć w całej okolicy bardziej rzetelnego – to uznawano powszechnie. Co do Chrystyny, to nie była ona wprawdzie pięknością, ale była dobrze zbudowaną dziewczyną o miłej twarzyczce. Wszyscy mówili o niej dobrze, była też zręczna w gospodarstwie. Czegóż więcej można żądać? On nie żądał więcej i ona także. I tak jak ich małżeństwo było najbardziej naturalnym wynikiem, tak i wspólne pożycie płynęło naturalnym i dobrym torem. Córeczka zmarła im po paru latach, potem przyszedł na świat Janek, który się dobrze chował. Ale kiedy młynarka doszła do trzydziestki, poczęły ją dręczyć zadyszka, mdłości i nagłe bicie serca. Ciało jej zwątlało, a cera, dotąd zupełnie świeża, poszarzała, tu i ówdzie pojawiły się fioletowe cienie.

Może przyczyniło się do tego i to także, że Jakub Clausen stał się szczególnie wrażliwy na kwitnącą młodość Lizy Vibe, *vulgo* Lizy kłusowniczan, kiedy ubiegłej jesieni wstąpiła na służbę do młyna. Rodzinny dom kłusowników na bagnach Virket, skąd pochodziła, nie cieszył się dobrą sławą w oczach młynarzy, toteż oboje żywili wątpliwości. Ale dziewczyna służąca w młynie odeszła nagle, wychodząc za mąż, wybór był na razie bardzo nieduży, każdej z kandydatek można było coś zarzucić, a Liza miała dobre świadectwo z folwarku związkowego, gdzie służyła rok z górą. Zdecydowali się zatem przyjąć ją na służbę.

Jakub nie przypominał sobie zresztą, aby początkowo wywierała na nim szczególniejsze wrażenie. Całe przedpołudnie spędzali razem w piekarni. Chrystian stał pomiędzy nimi, wyrabiał ciasto, które Liza odważała, a młynarz nadawał chlebom ostateczny kształt. Nie zerkano na boki ani nie gawędzono, a jednak praca odbywała się nieco weselej aniżeli wówczas, kiedy pomagała przy niej dawniejsza służąca, ordynarna dziewka z Lolandii. Bezpośrednio stykali się z sobą, kiedy odbierała chleb, który młynarz wydobywał z pieca. Wtedy też zauważył, że ma piękne ramiona i szczególny wdzięk we wszystkich ruchach.

Większe wrażenie wywarła na nim po raz pierwszy w wieczór Bożego Narodzenia. Spostrzegł, że właśnie kiedy już zasiadali do stołu, skinęła na Jörgena, przechodzącego koło drzwi kuchni, i po kryjomu podała mu jakiś zeszyt czy książkę – był to ów kalendarz, który jeszcze ciągle przyprawiał parobka o tak silne wzruszenie duchowe. Myśl, że oboje są w porozumieniu, dręczyła go. Był surowym i uważającym panem domu, w jego młynie panowała zawsze bojaźń boża i przystojność obyczajów, nie mógł ścierpieć ukrywającej się przed światłem lekkomyślności. A trudno byłoby zaprzeczyć, że z Lizy promieniowało coś nieuchwytnego, co budziło podejrzenie, że wnosi w dom coś niewłaściwego… Czy jednak te troski pana domu wystarczały, aby wyjaśnić jego niezadowolenie? To pewne, że trwał w złym humorze zupełnie nieodpowiadającym nastrojowi świątecznego dnia.

Jakże dziwne bywają nasze nastroje i ich przyczyny! Gdyby mógł był przeczuwać, że to jest ostatni wieczór Bożego Narodzenia, jaki spędza wspólnie ze swą dobrą, wierną żoną, to, oczywiście, powód taki wystarczałby do smutku. A jednak istotną przyczyną było tylko to, że dziewucha podarowała parobkowi ludowy kalendarz…

Zaledwie parę tygodni nowego roku przeminęło, kiedy Chrystyna poczuła się chora, a niebawem dzielna jej natura zmuszona była ulec. Rozpoczęła się obłożna, długotrwała choroba. Należało pomyśleć o przyjęciu do służby drugiej dziewczyny – wszędzie brakowało ręki gospodyni domu. Ale Liza podjęła się tego zadania, oświadczając, że sama załatwi wszystko. Prócz tego, że pomagała w piekarni, gotowała także strawę i sprzątała izby. Jadano nieco później, strawa była może mniej dobra, a także sprzątanie mogłoby być dokładniejsze – ale bądź co bądź wszystko było wykonane. Młynarz patrzył pełen podziwu i rozpływał się w pochwałach, a Chrystyna rozumiejąca doskonale jako dzielna gospodyni, ile potrzeba wysiłku, aby wszystkiego dokonać, nie mogła również odmówić uznania. Co prawda, chwaliła skąpo i niechętnie, ponieważ nie lubiła Lizy. Przede wszystkim raziło ją to „coś" w istocie dziewczyny. Niedługo potrwa, mawiała, a między Lizą i parobkiem zawiąże się bliższy stosunek. Poza tym zwróciła uwagę, że Liza ma próżniackie skłonności i niezbyt sumiennie wypełniała swoje obowiązki.

Tym bardziej też dziwiła się, że Liza w tym okresie pracuje

więcej, niż jej nakazywał obowiązek, że nie żąda większego wynagrodzenia, a nawet nie chce o nim słyszeć: „Trzeba sobie nawzajem pomagać, gdy choroba w domu zagości, więc czemu tyle gadać o tym?" Ta wspaniałomyślność była zagadką dla młynarki, aż wreszcie zastanowiła się, czy przypadkiem Liza nie chce się stać niezbędną; zauważyła ona z pewnością, że gospodyni domu nie jest z niej zadowolona i pragnęłaby się jej pozbyć przy sposobności – a teraz z góry udaremniła wszelką próbę tego rodzaju. Bo istotnie udało się jej dopiąć celu: na razie nie można było wyzbywać się jej pomocy. Zanimby można było pomyśleć o tym, Chrystyna musiałaby się tak skrzepić[6], aby nie groziła jej recydywa[7] choroby – a do tego było jeszcze daleko.

Niecierpliwe pragnienie zepchnięcia Lizy z przodującego stanowiska skłoniło Chrystynę do tego, że skróciła okres swej rekonwalescencji i wcześniej, niż to było wskazane, zabrała się do pracy. Obserwowała teraz wszystko wyostrzonymi zmysłami i niebawem wydało się jej, że dostrzega pewne zmiany u swego męża. W jego zachowaniu pojawiło się coś niepokojącego, często bywał roztargniony. W stosunku do niej okazywał jak zwykle wielką troskliwość, ale w jego tkliwość wkradał się jakiś obcy pierwiastek. Czasem znowu, jak się wydawało, zapominał, że nie jest jeszcze zupełnie zdrowa. Zwróciła też uwagę, jak wesoły powracał w południe z piekarni.

Ten właśnie szczegół przede wszystkim nasunął młynarce

[6] *skrzepić się* – wzmocnić się, nabrać sił. [przypis edytorski]

[7] *recydywa* – tu: nawrót. [przypis edytorski]

myśl wiążącą te wszystkie objawy z osobą Lizy. Czemu bywał tak gwałtowny, kiedy wytykała Lizie coś niewłaściwego? „To dziwne, że zawsze wygadujesz na tę biedną dziewczynę". Chrystyna rozumiała dobrze, że jest to poniekąd prawdą, ale właśnie dlatego, że jej własne ataki, skierowane przeciwko Lizie, wynikały raczej z niechęci niż z rzeczowych przyczyn, właśnie dlatego wyczuwała też, że i jego gorliwa obrona dziewczyny nie była podyktowana szczerą, zimną sprawiedliwością. Zaczęła czynić aluzje, niekiedy dosyć ostre, co do jego sympatii dla Lizy i osiągnęła dzięki temu zgoła niepożądany skutek.

Mianowicie dopiero skutkiem tych aluzji młynarz począł uświadamiać sobie swój własny stan. Chrystyna miała słuszność; ta dziewczyna wniosła coś nowego, nieznanego w jego życie i podczas gdy stawała się niezbędna i niezastąpiona w gospodarstwie, zdołała również doprowadzić do tego, że stała się niezbędna w jego uczuciowym życiu. Tak jest, żona jego miała istotne przyczyny, by jej nienawidzić, albowiem – słusznie czy bez powodu – on kochał tę dziewczynę.

Zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwo jest nie zawsze najwłaściwszą drogą wiodącą do uniknięcia niebezpieczeństwa – niekiedy można osiągnąć w ten sposób wręcz odwrotny skutek. Tak jak śpiący budzi się pod magnetycznym wpływem utkwionego w nim spojrzenia, tak samo niekiedy drzemiące jeszcze niebezpieczeństwo budzi się skutkiem zwrócenia nań uwagi i raptownie spada na zagrożoną ofiarę, zanim ta zdoła przed nim uciec. Uczucie młynarza do Lizy – które aż do

tej chwili było w jego podświadomym życiu nieuchwytnym nastrojem, przejawem wesołego charakteru, niejako lekkim, drażniącym upojeniem – przemieniło się w dręczącą go, nieprzepartą namiętność.

Po niedługim czasie zdrowie jego żony znowu zaczęło się pogarszać – groziła najwidoczniej recydywa. Młynarka walczyła przeciwko temu heroicznie, całą siłą woli; nie chciała wypuścić z rąk żadnej pracy. Błagał ją, aby oszczędzała swoje siły. „Tak, tobie podobałoby się najbardziej, gdyby Liza zastąpiła mnie we wszystkim" – odpowiedziała. A on spostrzegał z przerażeniem, że ten jasny wgląd w stosunki umacnia jej upór, grożąc zagładą.

Wreszcie musiała się poddać. Kiedy leżała tak, przykuta do łoża chorobą – jakaż dręcząca trwoga nurtowała jej serce! „Co się tam teraz dzieje, gdy mnie nie ma?"… I w tej bezradności rozwinęła w sobie nowe zdolności, nadnaturalne zmysły, z pomocą których ścigała tych dwoje w najdalsze zakątki. Wyczuciem chorej, która już sama w sobie posiada zarodki somnambulicznej telepatii, gromadziła nieznużenie materiał, który następnie zazdrość, dzięki swej genialnej sile kombinacyjnej, kształtowała i wypełniała barwami – to znowu maligna podchwytywała te obrazy, rozwijała je w potworne kształty, ożywiała je i wyolbrzymiała w jaskrawym blasku czarodziejskiej latarni gorączkowych majaczeń. Ale nawet w tym zniekształceniu i przesadzie tkwiło pewne jądro prawdy, chociaż prawda ta posiadała raczej cechy symboliczne i prorocze.

Albowiem to, co w tym okresie wydarzyło się istotnie

między zainteresowanymi osobami, było tak małoznaczne, że trzeźwa obserwacja nie znalazłaby w tym chyba motywów do malowania takich obrazów. Szybkość działania nie była cechą natury młynarza. Ani jednym słowem nie zdradził się przed Lizą, co się w nim dzieje, aczkolwiek nie wątpił, że dziewczyna domyśla się tego, i chociaż wie, że jest dlań życzliwa – z wyjątkiem tych momentów, kiedy dręczyły go dyktowane zazdrością podejrzenia, że przedkłada ponad niego Jörgena albo nawet Chrystiana. Cień śmierci, który coraz głębiej i głębiej chylił się nad młynem, odejmował jego namiętności wszelką zmysłową radość życia i przemieniał ją raczej w niespokojną trwogę, w fatalną nieśmiałość. A jeśli nawet kiedyś namiętność się wzburzyła, wnet nakładała jej cugle mistyczna świadomość, że jest obserwowany – obserwowany na każdym kroku. To spojrzenie, które biegło w ślad za nim z pokoju chorej i które witało go, kiedy wchodził z powrotem – ciążyło mu, gdziekolwiek poszedł lub stanął, a zwłaszcza gdy spotykał się z Lizą.

I był przekonany, że nie jest to tylko jego własne, bezpodstawne urojenie.

Teraz już wargi chorej nie wypowiadały ani docinków, ani gorzkich uwag. Pytania jej były podyktowane, jak by można sądzić, wyłącznie zainteresowaniem gospodyni domu: chciała wiedzieć o wszystkim, aby się uspokoić, że wszystko idzie porządnie, ustalonym torem. Ze zdumieniem jednak przekonywał się na podstawie jej zapytań, że niejednokrotnie

bywała w tajemniczy sposób powiadomiona o tym, co się dzieje. Tak na przykład wiedziała kiedyś, że pomagał dziewczynie w zbieraniu płótna wyłożonego do bielenia, aczkolwiek było wykluczone, aby do pokoju chorej doszły echa rozmowy z miejsca, gdzie to robiono, i aczkolwiek Janek, który mógłby to zobaczyć, nie był wcale u niej.

Przy pewnej sposobności przekonał się najzupełniej dowodnie o tej tajemniczej zdolności swej chorej żony, a mianowicie w chwili, kiedy się zapomniał po raz pierwszy.

Był w magazynie i zamierzał wejść na górę do młyna, gdy właśnie Liza schodziła po stromych szczeblach; wracała, zaniósłszy parobkom strawę. Kiedy dostrzegła go na dole, odwróciła się, nie chcąc schodzić tyłem, jak to zazwyczaj czyniła. Prawą ręką opierała się o mur, a nie chcąc zaczepić spódnicą o szczeble, podniosła ją lewą ręką w górę, przy czym ukazała się silna, ładnie ukształtowana noga, odkryta prawie aż po kolano. Stopa w wełnianej pończosze szukała najpierw szczebla, a potem zakrzywiała się na nim jak ręka; całe jej ciało, dążące do utrzymania równowagi, było ożywione łagodnym, kocim, giętkim ruchem. Niby trwożny, a pełen wdzięku uśmiech oczarował do reszty młynarza. Gdy wreszcie zeskoczyła z ostatnich paru szczebli, pochwycił ją w ramiona i ucałował – usiłując nadać temu erotycznemu porywowi cechę zwykłego wiejskiego flirtu, jednakże bez powodzenia, bo śmiech jego brzmiał wymuszenie. Młoda zwodnica spojrzała na niego dziwnym wzrokiem, wyrwała się szybko z uścisku i wymknęła

za drzwi.

Młynarz udał się na górne piętra, zabawił tam mniej więcej kwadrans, a potem wrócił do mieszkania. Teściowa przywitała go rozpaczą: przed kwadransem córka zerwała się nagle, miotana gwałtownym atakiem duszności, i wpatrzyła się nieruchomo przed siebie, nie poznając wcale matki. Aż do tej chwili leżała spokojnie, zwłaszcza że w ostatnich dniach nastąpiło pewne polepszenie. W ciągu całego wieczoru majaczyła, a z poszczególnych jej słów młynarz wywnioskował, że musiała być chyba naocznym świadkiem sceny, jaka rozegrała się we młynie. Nie wydawało mu się to bardziej niepojęte aniżeli inne, wprawdzie mniej znaczące objawy telepatii, jakie już poprzednio u niej zaobserwował.

Od tego dnia jednak rozpoczął się bardzo niespokojny zwrot w jej chorobie.

VIII

Młynarz siedział jeszcze ciągle nieruchomy i rozmyślał o tym wszystkim. Wspomnienia otaczały go kołem – żadne nie było odleglejsze aniżeli inne. Wydawało mu się, że to wczoraj jeździł do Smoczego Dworu, a ona wyszła przed bramę i odbierała dymiące jeszcze chleby; wydawało mu się, że niedawno jeszcze stali razem w kapturze młyna, gdy śmigi nastawiono pod wiatr; właśnie wczoraj przypomniał sobie o tym, kiedy chora wśród gorączkowego snu zakrzyknęła nagle: „Ach, zgniecie ich… zatrzymajcie obrót… ściskadło ich zgniecie!". Widział wszystko wyraźnie: jej dziecięcą twarzyczkę z owego czasu, okoloną jedwabistym włosem spadającym na policzki, duże, osłupiałe oczy i skrzywione przerażeniem usta. I kiedy teraz wpatrywał się w to oblicze wsparte na poduszkach, odnajdywał w nim bardzo dużo z tamtego dawnego – zwłaszcza to samo skrzywienie ust, których jeden kącik unosił się nieco w górę. Nie mógł uwierzyć, aby ta istota, której widzialny kształt nie zatracił jeszcze całkowicie dawnych dziecięcych rysów, dosięgła już swego kresu i aby ich współżycie, rozpostarte przed jego oczyma jakby jeden jedyny dzień, już było skazane na śmierć.

Przypomniał sobie jej słowa: „Kiedy człowiek umiera, życie wydaje mu się takie krótkie". Czyżby już i on sam przyswajał sobie poglądy umierającej?…

Nagle zachciało mu się pić. Nie znalazłszy wody w dzbanku,

poszedł przez świetlicę do swej sypialni. Drzwi pokoju chorej pozostawił niedomknięte.

W sypialni świeciło się. Liza stała przy jego łóżku.

– Czemu jeszcze nie śpisz?

– Miałam tyle roboty.

– Niepotrzebnie słałaś moje łóżko.

– Sądziłam, że może pan zechce przespać się trochę tej nocy.

W tym okresie młynarz sypiał po parę godzin podczas dnia, pozostawiając chorą pod opieką teściowej, a w nocy sam czuwał przy łóżku żony.

– Gdybym przespała parę godzin, mogłabym także posiedzieć przy pani – dodała Liza.

– Nie, nie! Co za pomysł! – odpowiedział niemal szorstko.

Ogarnęło go wprost przerażenie na myśl, że chora mogłaby się przebudzić i ujrzeć Lizę siedzącą przy łóżku.

Liza odwrócona tyłem do niego, uśmiechnęła się podstępnie.

W tej chwili Janek zajęczał przez sen i poruszył się w łóżeczku. Ojciec podszedł ku niemu, poprawił poduszkę i kołdrę i lekko pogłaskał głowę chłopca. Dziecko uspokoiło się natychmiast, wydawało się, że zapada w głębszy sen, jak gdyby pod wpływem magnetycznego pociągnięcia.

Młynarz rozejrzał się wkoło, wahając się. Nie mógł sobie przypomnieć, po co tu przyszedł… Ach, prawda. Po wodę!

Podszedł do umywalni i nalał sobie z dzbanka pełną szklankę wody.

– Woda jest świeża, właśnie przyniosłam ją ze studni –

zauważyła Liza.

Wypił duszkiem. Chłodny płyn pokrzepił go – duchowo i cieleśnie. Wydawało się, że ta woda spłukuje atmosferę pokoju chorej i niesie mu wzmacniające pozdrowienie z żywych, świeżych źródeł przyrody.

Poprzez szkło szklanki spojrzał na Lizę.

Wydało mu się to tak niezwykłe: tam wewnątrz leżała chora, a tutaj stała zdrowa, ścieląc mu łóżko. Liza wyglądała jak samo zdrowie, a pęd powietrza – wzbudzony jej silnymi ruchami podczas układania materaców, prześcieradła, poduszek i kołdry – owiewał go niejako życiodajną atmosferą.

Właśnie w tej chwili, kiedy odstawiał szklankę, Liza cofnęła się o krok w bok, ale stąpnęła nierówno – skręciła nogę w kostce i byłaby upadła, gdyby jej nie pochwycił. Cichy okrzyk świadczył o bólu, a zarazem o panowaniu nad sobą – obawiała się obudzić chorą. Ociężale i bezradnie zawisło mu na ręku jej ciało, głowa wsparła się na jego ramieniu, wyczuwał uderzenia bijącego przestrachem serca.

Nie było to dla niego nieprzyjemne, że przez parę chwil wspierał ją a raczej dźwigał.

Potem stanęła na prawej nodze, odwróciła głowę ku niemu i szepnęła:

– Dziękuję!

Twarz jej wyrażała wdzięczność i jak gdyby dziecięcą ufność.

– Nie zwichnęłaś chyba nogi? – zapytał troskliwie.

– O, nie! Już mogę stąpać.

– Zaniechaj tego! Usiądź tutaj na łóżku.

– Szkoda tylko, że znowu je rozburzę – zauważyła, uśmiechając się i sadowiąc na brzeżku łóżka.

– Pst! – szepnął nagle przerażony.

Usłyszał dziwny, niesamowity dźwięk dochodzący z oddali.

Drzwi do świetlicy były przymknięte. Zbliżył się ku nim.

Liza powstała z wysiłkiem i kulejąc postąpiła naprzód, chcąc mu towarzyszyć i ewentualnie dopomóc, gdyby zachodziła potrzeba. On gwałtownym skinieniem zatrzymał ją w miejscu i poszedł do pokoju chorej.

Chrystyna siedziała na łóżku, przyciskając lewą rękę do piersi, jęcząc i łapiąc chciwie powietrze. Szeroko rozwarte oczy nie widziały go wcale, nie zwróciła też uwagi na niego, gdy podtrzymywał jej drgające ciało.

Powoli spazm przeminął, górna część ciała zwiotczała i opadła w jego ramiona, głowa pochyliła się na piersi.

– Chrystyno! – zawołał parokrotnie z rozpaczą, układając ją na poduszkach.

Ale nic nie wskazywało, by ludzki głos mógł dotrzeć do jej świadomości.

Oddech słabł wśród silnego rzężenia.

I ten odgłos posłyszała Liza, stojąca w sypialni w odległości paru kroków od na wpół otwartych drzwi.

Na jej ustach pojawił się uśmiech tryumfu.

Księga II

I

W następną środę odbył się pogrzeb.

Oprócz najbliższych krewnych, matki i brata, byli obecni tylko leśniczy z siostrą, proboszcz, nauczyciel i kilka rodzin chłopskich – byli to po części sąsiedzi, po części dalecy krewni mieszkający w odległości paru mil, których nie chciano puścić do domów, nie ugościwszy poprzednio.

Dla Lizy był to dzień ciężkiej pracy, ale także dzień chwały, albowiem mogła przedstawić swą dzielność w najlepszym świetle i miała doskonałą sposobność, by wystąpić wobec gości w roli gospodyni domu. Najważniejsze było, aby ci goście – szkoda, że nie przyjechało ich więcej – wracali do domów, rozpływając się w pochwałach: to istotnie dziewczyna, z której młynarz powinien być zadowolony! Byłoby bezwstydem zauważyć, że w młynie odczuwa się brak gospodyni.

Bądźcie spokojni, kochani ludzie! Znajdzie się jeszcze i pani domu! Wszystko we właściwym czasie! W tym dniu miała Liza przed oczyma inny cel i doprawdy warto było napocić się nieco. Dlatego też nie zgodziła się na propozycję młynarza, aby podać zimną wieczerzę. Ładnie by to wyglądało, gdyby ludzie rozgadywali, że Liza nie ugościła ich gorącą pieczenią.

Skoro więc kawa pokrzepiła na początek umysły, uroczyście przygnębione pogrzebem, wspomniana pieczeń – olbrzymia cielęcina – skoncentrowała despotycznie wszystkie wysiłki, a Liza była zadowolona, że Hanna z leśniczówki, pomagająca już przy kawie, zapytała, czy nie mogłaby jeszcze w czymś dopomóc. Do siekania szpinaku pomoc jej okazała się pożądana.

Natomiast nie zgadzało się to z planami Lizy, że nieco później pani Andersen, matka Chrystyny, wtłoczyła się do kuchni z całą bezceremonialnością otyłej, bogatej chłopki i zapytała łaskawie:

– Ano, Lizko… co słychać?… Czy tylko dasz sobie radę?

„Co cię to obchodzi, ty stara purchawko?" – pomyślała Liza, mrucząc jednocześnie jakieś słowa, mogące uchodzić za uprzejmą podziękę w odpowiedzi na łaskawą troskę.

Stała właśnie przy piecu i wyjęła pieczeń, aby ją posolić. Olbrzymi kawał mięsa wzbudził podziw chłopki; pochyliła się nad dziewczyną.

– No, trzeba przyznać, że dzisiaj nie pomrzemy z głodu.

– Nie zdaje mi się, aby na stole u dziedzica pojawiła się lepsza pieczeń.

Dziedzic! To był jej syn, Henryk, o którym powszechnie mówiono, że nie obchodzi go nic, prócz rozkoszy jedzenia. Aluzja była dyskretna, ale nie chybiała celu.

– Tak, miałaś istotnie szczęście – oświadczyła pani Andersen zaczepnym tonem. – Taki kawał można upiec porządnie.

– Jak to… szczęście? Nie spadł nam przecież z nieba!

– Hm, pozostajesz widocznie w dobrych stosunkach z

rzeźnikiem… Fredriksen ugania zawsze za dziewczętami.

To był strzał z ciężkiego działa. Liza jednak strzeliła jeszcze dalej.

– Fredriksen? – odpowiedziała z poczuciem wyższości. – Nie, posłałam Chrystiana do miasta.

Słowa „posłałam Chrystiana do miasta" miały przedziwnie słodki smak, zwłaszcza że nie były przesadą. Młynarz pozostawił jej swobodę działania, a więc kierowała wszystkimi przygotowaniami do przyjęcia gości wedle własnej woli.

Na starą chłopkę uwaga ta podziałała zgodnie z zamierzeniem Lizy: „Aha! Więc już się zaczyna? Już gra rolę gospodyni tu w młynie?… No, zaczekaj! Trzeba zawczasu uderzyć cię po palcach!".

Otyła kobieta okręciła się na obcasie, a odziedziczony stuletni jedwab zaszeleścił na niezbyt czystych flizach podłogi, podczas gdy wielmożna posiadaczka sukni gotowała się obejrzeć wszystko, co stało na stołach i półkach lub wisiało na ścianach. Liza posłała jej przez ramię wymowne spojrzenie: „Tak, tak, przyjrzyj się swojej gębie na wszystkich kotłach i garnkach – nie będzie i tak piękniejsza!". – I istotnie, nie stała się piękniejsza ta twarz, która już od urodzenia nie wyróżniała się urodą. Tam maszynka do herbaty odportretowała jej minę idiotycznego rozczarowania, gdzie indziej brzuch miedzianego kotła tak ją poszerzył, jak gdyby z całych sił ciągnięto ją z obu stron za uszy. Pomijając zniekształcenia w odbiciu, zwierciadlane obrazy nie grzeszyły też zbytnią jasnością. Ale pani Andersen nie należała

do osób, które oburzają się odrobiną brudu, więc niestety, nie znalazła nic, czemu można by przyganić.

Jeszcze nie osiągnęła tego niepożądanego wyniku, kiedy drzwi wiodące do izby czeladnej, obok których stała, rozwarły się z taką siłą, że klamka niezbyt łagodnie zetknęła się z jej szerokimi plecami.

– No Lizo! Teraz będziemy…

Wpadający do kuchni Jörgen nie dokończył swego przemówienia, ponieważ karcące spojrzenie Lizy, poparte własnym spostrzeżeniem, że drzwi uderzyły o coś, skłoniło go do obejrzenia się. Najpierw dostrzegł Hannę, co już przytłumiło jego zbyt głośne zachowanie się, a potem ujrzał dziedziczkę, której obrażona mina z powodu uderzenia zgasiła całkowicie jego młodzieńczy zapał. Wyjąkał przeproszenie, niezbyt łaskawie przyjęte, a potem przypomniał sobie, że właściwie przyszedł po ogień do fajki, ponieważ w izbie czeladnej brakło zapałek.

Zaradzono temu brakowi. Ale Jörgen był jeszcze ciągle tak zakłopotany, że wychodząc, nie zamknął porządnie drzwi za sobą. I słychać było, jak w izbie czeladnej pędrak Lars sobie folgował:

– Niech mnie diabli wezmą, jeżeli młynarz nie ożeni się prędko powtórnie. I wiem, do kogo się zaleca!

– Do diabła! – burknął Chrystian.

– A tak! I niedługo poczekamy na to.

Liza pospieszyła domknąć drzwi, objaśniając:

– Ten paskudny dym tytoniowy zasmrodzi całą kuchnię!

Potem szybko spojrzała w bok, chcąc się upewnić czy owe słowa z izby czeladnej dosłyszano tutaj. Dziedziczka wpatrywała się z przejęciem w jedno z humorystycznych odbić jej twarzy i skierowała właśnie jakieś obojętne pytanie do Hanny, która zrazu nie dosłyszała go wcale, a po powtórzeniu zapytania odpowiedziała z widocznym pomieszaniem. To zwróciło uwagę Lizy: wydało się jej, że „pobożna siostra" stała się ofiarą świeckich wzruszeń, a jeden z tych nagłych, wyjaśniających sytuację błysków, jakie fosfor kobiecego mózgu tak zręcznie zapala, powiązał te świeckie wzruszenia z głosami dochodzącymi spoza drzwi izby czeladnej, bo, na szczęście, nie można już było dosłyszeć słów. Zdecydowała się szybko, schwyciła miskę z ciastem, które pozostało po wypiciu kawy, i poszła do izby czeladnej.

Nie zapomniała zamknąć drzwi za sobą.

– …i jak szczególnie młynarz patrzył na nią przy drzwiach cmentarza, kiedy…

Pędrak Lars urwał w środku zdania, gdy ujrzał Lizę. Miał minę uczniaka, którego nauczyciel złapał podczas płatania figli. Czerwony ze strachu bębnił palcami po stole i udawał, że obojętnie wygląda na podwórze. Chrystian uśmiechał się zakłopotany, Jörgen zaś palił spokojnie dalej, trzymając fajkę w prawym, pogardliwie skrzywionym kąciku warg. Było to zabawne widzieć, jak inni idą za fałszywym tropem, i mieć poczucie własnej świadomości rzeczy. Toteż zerkając, chytrze

uśmiechał się do Lizy.

Liza była zadowolona: weszła w najkorzystniejszej chwili. Sama miała nazbyt dużo roboty i nie mogła pójść na cmentarz. Na kogoż to innego patrzyłby młynarz „tak szczególnie", jeżeli nie na Hannę? A więc to dlatego!…

– Dobrzy jesteście chłopcy, nie ma co mówić – rzekła, stawiając miskę na stole. – Przynoszę wam tutaj ciasto, które dla was schowałam, a wy przemyśliwacie tylko nad tym, aby dostać nową panią domu. Nie zadowalacie się widocznie tym, co jest?

– Ależ na Boga, jesteśmy zadowoleni – zapewniał Lars ze łzami w oczach, ponieważ ubóstwiana Liza skierowała ten pogardliwy zarzut przeciwko niemu jako mówcy. – Co ty gadasz… wcale nie mówiliśmy o tym…

– Czy przysięgniesz na to, mały Larsie? – przerwał mu groźnie Jörgen.

Mały Lars nie mógł przysiąc, zamilkł zmiażdżony, odwrócił głowę i nieznacznie otarł łzę.

Ale niebawem uwaga odwróciła się od niego, ponieważ Chrystian oświadczył flegmatycznie, że on istotnie nie jest zadowolony i życzy sobie gorąco, aby znowu była w młynie gospodyni – im prędzej, tym lepiej!

Oniemiała Liza wpatrywała się w piegowatą twarz rudego parobczaka – przeraził ją niemal ten jawny bunt. Spojrzenie Lizy atakowało Chrystiana z przodu, na flankach ostrzeliwał go krzyżowy ogień z głupkowato wybałuszonych oczu Larsa i z ust Jörgena. „To szalony człowiek!" Zuchwały parobek nie przerażał

się groźną sytuacją, rozstawił jeszcze szerzej nogi i zapuścił pięści jeszcze głębiej w kieszenie portek.

– Takie to już jest moje przekonanie – przemówił wreszcie, przeciągając słowa. – Czy to stosownie, abyś gospodarowała tutaj w kuchni? Inaczej było wówczas z początku, kiedy mieliśmy cię tam w piekarni… nieprawda, Lizo? Ja wyrabiałem ciasto, ty ważyłaś je. To mi się podobało.

Jörgen pochylił się i zawzięcie pykał fajkę, osłaniając swój gniew kłębami dymu. Te poranne godziny, kiedy Chrystian stał przy boku Lizy i ciągle się z nią stykał, od dawna już kłuły go w oczy.

– Oczywiście, i mnie się także podobało – odpowiedziała Liza, przebłagana zupełnie jego wyjaśnieniem. – Było to weselsze, aniżeli siedzieć tutaj samotnie w kuchni… z jednym jedynym Pilatusem, który przecież jest tylko zwierzęciem.

– No tak, ale to doskonały kot – wtrącił Lars pospiesznie – nieporównanie lepszy aniżeli Kizia.

Liza nagrodziła tę lojalną manifestację łaskawym skinieniem.

– Zresztą i teraz zachodzę często na górę – zauważyła, aby pocieszyć Chrystiana, a zwłaszcza aby podrażnić Jörgena.

– No tak, kiedy niekiedy, właśnie podczas najgorętszej roboty, tak że i mowy nie ma o prawdziwej serdeczności… Nie, wówczas było inaczej… Napijmy się, aby wróciło to, co było.

Wlał do szklanki resztki wina z flaszki przesłanej życzliwie przez Lizę do izby czeladnej, wypił połowę i podał potem dziewczynie, która wypróżniła ją, obdarzając wszystkich trzech

uśmiechem i skinieniem głową.

– Obyśmy wszyscy żyli dobrze i zgodnie z sobą! A jeżeli młynarz chce się żenić… daję mu moje błogosławieństwo!

Jörgen, który uroczyście wzniósł szklankę – nie zapominając o złocistych, wypełnionych rozkoszną małmazją[8] kielichach, z jakich pili za zdrowie swych dam rycerze z kalendarza – uczuł znowu swoją wyższość nad Chrystianem jako jedyny powiernik i sojusznik Lizy. Chrystian natomiast dosłuchał się w tym błogosławieństwie jej tęsknoty za wspólnym codziennym obcowaniem w piekarni. A Lars znowu pamiętał, jak czule spojrzała na niego, mówiąc o „wszystkich", i był przekonany, że dziewczyna nie dba bynajmniej o tych obu wielkich zarozumialców.

[8] *małmazja* – słodkie, aromatyczne, czerwone wino z krajów śródziemnomorskich; pierwotnie wyrabiane ze szczepu winogron malvasia w okolicach miasta Malvasia na Peloponezie, potem również w innych miejscach, w tym na Wyspach Kanaryjskich i na Maderze; w Polsce ceniono małmazję z Krety; nazwa wina stanowiła synonim luksusowego trunku. [przypis edytorski]

II

Kiedy Liza wróciła do kuchni, przekonała się, ku swej wielkiej radości, że pani Andersen już odeszła. Była sam na sam z Hanną i z nowym zupełnie zainteresowaniem obserwowała tę domniemaną rywalkę, która stała poufale przy oknie i siekała dla niej szpinak. W tej chwili bardzo nie podobało się Lizie, że widzi „panienkę" przy tej gospodarskiej pracy; wyglądało to, jak gdyby już była u siebie w domu! Grała już rolę gospodyni!

W ostrym wiosennym świetle, wpływającym przez okno, postać dziewczęcia wydawała się delikatniejsza i smuklejsza niż zwykle, zwłaszcza dzięki czarnej wełnianej sukni mieniącej się błękitnawym odcieniem. Ciemne włosy były gładko zaczesane z czoła w tył głowy, a uczesanie to budziło lekceważenie u Lizy, ponieważ ona sama dwa razy tygodniowo rurkowała grzywkę żelazkiem. Rzut oka w najbliższy rondel przekonał ją, że grzywa marszczy się tak pięknie jak u mieszczanek. Pod tym względem była świadoma swej wyższości. Jednakże tajemny, wewnętrzny głos mówił jej, że gdyby nawet przejrzała się w czarodziejskim upiększającym lustrze, a nie w kuchennym zniekształcającym obraz naczyniu – to i tak twarz jej mimo uśmiechu zadowolenia uległaby we współzawodnictwie z tamtą drugą twarzą, która spokojnie i bez pretensji pochylała się nad codzienną pracą. Nawet przy najszczęśliwszym wyidealizowaniu jej własnego ładnego oblicza brakowałoby jeszcze czegoś –

brakowałoby wdzięku, którego nie zdoła nadać zewnętrzny blask najbardziej czarownego oszlifowania – brakowałoby refleksu tego *wewnętrznego* ognia, który raczej można przeczuć, niż zobaczyć.

Głuche wyczucie takiego stanu rzeczy nie wprowadzało jej bynajmniej w najlepszy humor, i niewiele brakowało, by przepełniająca ją gorycz wylała się na ulubieńca Pilatusa. „Doskonały kot" ukrywał się skulony w kącie za piecem, dopóki dziedziczka gospodarowała w kuchni. Teraz chciał znowu przypomnieć o swym istnieniu; podkradł się ku Lizie i potarł łbem jej ramię, kiedy klęczała koło pieca i oblewała sosem ogromną cielęcinę. Ale Liza parokrotnie z niechęcią odsunęła go na bok. Hanna chciała pocieszyć kota kawałkiem słoniny, ale Pilatus nie raczył zwrócić uwagi na przysmak, a natomiast ponownie zbliżył się do swej kapryśnej pani, kręcąc pieszczotliwie ogonem. Wtedy Liza doznała nagle wzruszenia, patrząc na wierne zwierzę i myśląc o przywiązaniu, jakie jej okazuje: „Tak, ty jesteś dobrym, poczciwym przyjacielem, zupełnie mi oddanym! Ciebie ona nie zwabi, chociażby zapragnęła, ty nic nie przyjmiesz od niej, prawda, Pilatusie? A jeżeli ona się tu osiedli i wypędzi mnie, wówczas nie zostaniesz tutaj, nie będziesz żebrał jej łask, ale pójdziesz ze mną, stary Pilatusie!".

Łzy zakręciły jej się w oczach. Widziała już wyraźnie, jak wypędzają ją z domu i z obejścia – z tego młyna, do którego pracą rąk własnych zdobyła sobie prawa! Jak wypędza ją obca,

zmuszając do wędrówki po mroźnych drogach w daleki świat z węzełkiem pod pachą. A kiedy Pilatus odpowiedział parokrotnie na tę niedosłyszalną przemowę czułym „miau", Liza znalazła jeszcze parę kropli kawy w dzbanku, wylała ją na duży spodek i doprawiła gęstą śmietanką. Potem usiadła na drewnianym podnóżku i postawiła spodek na kolanach. Kot wygiął grzbiet, wspiął się przednimi łapami na jej kolana i chlipał końcem różowego języka napój, spoglądając na nią kiedy niekiedy bursztynowożółtymi ślepiami. Ona zaś patrzyła na kota z nie mniejszą miłością poprzez łzy, które wycisnęła jej z oczu litość nad samą sobą i wściekłość – w spojrzeniu jej błyszczało jakieś przesądne nabożeństwo niby ku wyższej, ochraniającej ją istocie, ku dobremu geniuszowi, towarzyszącemu jej na ścieżkach życia w tej zwierzęcej postaci. Można było niemal przypuścić, że jest to jakieś święte zwierzę, któremu kapłanka składała codzienną ofiarę.

– Czy lubisz zwierzęta? – zapytała przyjaźnie Hanna.

– Lubię Pilatusa – odpowiedziała Liza wymijająco, prawowierna kapłanka, nieoddająca czci cudzym bogom.

– Pilatusa? Ten kot tak się nazywa?

– Tak jest… czy pani nie wiedziała o tym? – spytała Liza, szczerze zdumiona tą nieświadomością.

– Któż go tak nazwał?

– Albo ja wiem? Zawsze nazywał się Pilatus.

– Dałabym mu inne imię. Nie należy nazywać zwierząt

imionami z Pisma Świętego[9].

Liza uśmiechnęła się pogardliwie.

– Mój brat ma bardzo pięknego psa myśliwskiego, który nazywa się Hektor, a ja mam sarenkę… kochane zwierzątko… na które wołamy: Jenny.

– Nie cierpię psów, a sarny bardzo lubię na rożnie… Byłoby pięknie, gdyby brat pani przysłał nam w jesieni zwierzynę.

– Chętnie by to uczynił, ale zwierzyna nie do niego należy.

„No, jedna sarna mniej czy więcej, tego właściciele lasu z pewnością nie zauważą" – chciała już wybuchnąć Liza, ale powstrzymała się w porę. O, jakże była wściekła z powodu Hanny! Taka obłudnica! W leśniczówce pojawia się, oczywiście, ciągle comber sarni na stole!

– Ach tak? Nie rozumiem dobrze tych spraw – odpowiedziała swobodnie, okrywając zasłoną niewinności przyzwyczajenia zakorzenione od młodych lat w córce starej rodziny kłusowników.

Rozmowa się przerwała. To było głupie. Może jej niechęć wobec Hanny ujawniła się zbyt widocznie, a w każdym razie panienka nie odczuła zachęty do dalszej pogawędki. I cóż osiągnęła przez to? Byłoby znacznie mądrzej nakłonić ją do mówienia, a może nawet do wygadania się – należało przede wszystkim wybadać, czy istotnie łączy ją coś z młynarzem. Nie było to, oczywiście, nic groźnego, skoro udawała taką

---

[9] *Pilatus (…) imionami z Pisma Świętego* – imię rzymskiego prefekta Judei, Poncjusza Piłata (łac. *Pontius Pilatus*) w czasach Jezusa. [przypis edytorski]

świętoszkę.

Liza stanęła obok Hanny i czyszcząc noże, rozpoczęła na nowo pogawędkę zapytaniem, jak się odbyły uroczystości na cmentarzu. Hanna opowiadała bardzo życzliwie i wyczerpująco, pragnąc, aby poczciwa dziewczyna, która zapewne chętnie odprowadziłaby swoją gospodynię na miejsce wiecznego spoczynku, w ten sposób przynajmniej dowiedziała się o szczegółach pogrzebowej ceremonii. Potem sama poczęła wypytywać, a Liza opowiadała jej o ostatnich dniach choroby. Tak, młynarz przeżył bez wątpienia bardzo ciężki okres. Ale ponieważ choroba była nieuleczalna, więc lepiej się stało, że młynarka umarła, niżby miała cierpieć przez długie lata. I dla młynarza lepiej, bo jest on mężczyzną w pełni wieku i będzie miał możność, przebolawszy obecną stratę, rozejrzeć się jeszcze za drugą żoną. W młynie musi być przecież gospodyni.

Ten zwrot rozmowy był niemiły dla Hanny. Zaledwie biedna kobieta spoczęła pod ziemią, już przemyśliwają o tym, aby wypełnić jej miejsce! A cóż dopiero te niby niecierpiące zwłoki kwestie gospodarstwa – jakże małostkowe, jak materialistyczne! Ale nie tylko to. Dosłyszała poprzednio powiedzenie Larsa, że niedaleko znajduje się ta, którą młynarz pojmie za żonę – i powiedzenie to zastosowała do siebie. Prócz niej były tu tylko zamężne kobiety; o Lizie nie pomyślała wcale. Czyżby młynarz istotnie ją lubił? I czyżby inni już to dostrzegli? A ona sama? Czy w jej sercu mogło się zbudzić jakieś uczucie dla tego poważnego, trochę ociężałego mężczyzny? W ogóle było grzechem nawet

myśleć o czymś podobnym w takim dniu!

Wobec bezpośredniości jej natury niezadowolenie z powodu tego tematu rozmowy przejawiło się wyraźnie w zwięzłości odpowiedzi, w wyrazie twarzy, nawet w ruchach. Nie przeczuwała przecież, że ta, z którą rozmawia, czyha na każdą taką oznakę i pilnie obserwuje wszystko, udając na pozór niewinną gadatliwość.

– Młynarz – dowodziła Liza – nie jest bynajmniej za stary do żeniaczki, byleby nie chciał się ożenić z młodą dziewczyną. Ale jakaś wdowa, to byłoby ostatecznie najlepsze wyjście i ze względu na gospodarstwo, i dlatego że mogłaby być dobrą macochą dla Janka, jeśliby oczywiście sama nie miała dzieci… Jest na przykład w miasteczku wdowa po siodlarzu, młynarz ją zna i nieraz ją wspominał.

Liza uznała taki obrót rozmowy za nadzwyczaj korzystny; radowała się wprost własnym sprytem. Po pierwsze: odsuwała wszelkie podejrzenia od siebie samej. Panienka była przecież tak łatwowierna! Bo chociaż Liza, gdy o to chodziło, zarzucała niejedno panience z leśniczówki, chociaż uważała ją za wykwit obłudy, za „udającą świętoszkę", to jednak nie przeszkadzało to wcale, że równocześnie patrzyła na nią z dziwną niekonsekwencją jako na głuptaska, któremu można wmówić najniemożliwsze rzeczy. Gdyby więc kiedyś rozeszły się pogłoski, że Liza dąży ku temu, by wyjść za młynarza, to panienka z leśniczówki zaprzeczyłaby temu kategorycznie. To była korzyść, i to duża. Po wtóre…

– Wdowa?… nie, a to dlaczego? Młynarz nie jest przecież bynajmniej za stary, by poślubić młodą dziewczynę… jeżeli w ogóle zechce się ożenić.

Aha! Wylazło szydło z worka! Właśnie dlatego zastawiła chytrze pułapkę.

Hanna nie potrafiłaby może wyjaśnić ani sobie, ani komuś innemu, dlaczego z taką niechęcią pomyślała o tym, że młynarz mógłby poślubić wdowę. Może tylko dlatego, że jako przyjacielowi swego brata życzyła mu jak najlepiej, życzyła mu czegoś pięknego, bezpośredniego, świeżego, gorącej, szczerej miłości – a dzięki swemu naiwnemu poglądowi na świat przypuszczała, że właśnie tego nie znajdzie u wdowy. Na pewno nie podsunął jej tych słów własny interes, toteż nie przeszło jej przez myśl, by ukrywać swe mniemanie – wszak zawsze miała na języku to samo co w sercu.

– Ach tak? Więc tak pani sądzi? – zapytała Liza ze zdziwieniem. – Doprawdy?

– Tak, czemuż by nie?

– Młynarz ma już siwe włosy na skroniach.

– Bardzo mu z tym do twarzy, jak mi się zdaje.

– A niekiedy miewa też głębokie zmarszczki na czole i wtedy wygląda naprawdę bardzo staro.

– To tylko dlatego, ponieważ jest poważnym mężczyzną i dręczy się rozmaitymi myślami. Cóż to zresztą szkodzi?

– O nie. Może ma pani słuszność. Mógłby oczywiście poślubić i młodą dziewczynę… Ale mnie się wydaje, że wdowa byłaby

odpowiedniejsza dla niego, a wdowa po siodlarzu posiada pono ładny grosz!…

Liza osiągnęła wszystko, co zamierzała. Gdy więc teraz Hanna zgarnęła posiekany już szpinak i zapytała, czy mogłaby jeszcze w czymś dopomóc, Liza odpowiedziała, że bardzo panience dziękuje i że teraz sama już da sobie radę, zresztą nie chciałaby zatrzymywać panienki dłużej z dala od towarzystwa, gdzie zapewne odczuwają jej nieobecność. Miała szaloną ochotę dodać: „Młynarz odczuwa na pewno nieobecność panienki". Ale zapanowała nad sobą; nie należy niepotrzebnie szczerzyć zębów jak głupi pies, lecz w rozstrzygającej chwili mocno wbić pazury – prawda, Pilatusie?

III

Kiedy Hanna weszła do świetlicy, towarzystwo było podzielone na grupy. Młynarz był nieobecny w izbie. Rozmawiał on w ogrodzie przed domem z leśniczym, nauczycielem i jedną z chłopek, wszyscy wyszli na dwór – oprócz pani Andersen, którą proboszcz pocieszał w małym narożnym pokoju, gdzie umarła jej córka. Wszystkie ślady choroby zostały już usunięte, tylko komoda, stolik i parę krzeseł stało w tej izbie, zazwyczaj nieużywanej. Drzwi stały otworem do świetlicy, gdzie chłopi rozsiedli się przy stole. Całą przestrzeń wypełniały błękitne kłęby tytoniowego dymu, który wijąc się krętymi warstwami, to podążał ku otwartym drzwiom do ogrodu, to płynął z powrotem.

Nad wszystkim ciążył jakby wewnętrzny kontrast: było to towarzyskie zebranie, a więc jako takie powinno by być ożywione i wesołe; z drugiej strony powodem zebrania były śmierć i pogrzeb, więc należało trwać w smutnym i uroczystym nastroju. Mieszkańcy wsi umieją zazwyczaj doskonale rozwiązać to przeciwieństwo na korzyść wesołości; tutaj jednak w postawie gospodarza przejawiało się jakieś przygnębienie i niepokój, co utrudniało przejście do normalnego w takich okolicznościach nastroju. Najbardziej cierpiał wskutek tego rozstroju brat zmarłej, dziedzic Henryk – *alias* Smok. Był to jasnowłosy mężczyzna, trzydziestoletni, z czerwonymi, pełnymi policzkami, z bródką, skłaniający się ku otyłości. On sam bynajmniej nie

patrzył na uroczystość z najczarniejszej strony. W ostatnim czasie widywał swoją siostrę zaledwie dwa razy na kwartał, a chociaż teraz w ogóle już nie miał doznawać tego szczęścia, to nie uważał tego wcale za wystarczający powód, aby zwiesić głowę.

W dodatku kawa i ciasto, portwein i cygaro bardzo mu smakowały, a ożywiała go także miła nadzieja wieczerzy, wzbudzona słowami o doskonałej pieczeni cielęcej, które padły z ust przechodzącej mimo matki. Zresztą podzielał w znacznej mierze zdanie, jakie przede wszystkim wyznawała grupa o bardzo przyziemnych poglądach, a mianowicie: skoro się już oddało śmierci to, co się jej należało, trzeba także życiu oddać jego należność. A takie zapatrywanie potęgowała jeszcze świadomość kontrastu, że człowiek żyje, jest zdrów i sam nie daje jeszcze na razie okazji do pogrzebowej stypy. Ale jednocześnie nie zapominał także, że jest jednym z „dotkniętych żałobą". Wynikały stąd dosyć nagłe zmiany w jego sposobie zachowania się. Właśnie w tej chwili wypił jeszcze jeden kieliszek portweinu i z zadowoleniem mlasnął wilgotnymi, szeroko śmiejącymi się wargami. Gdy jednak Hanna weszła do pokoju, skrzywił lewy, zwrócony do niej kąt ust, zmarszczył czoło, a pełne błogości „ahm", które drżało już na wargach jako pochwała doskonałego napoju, zmieniło się w ciężkie westchnienie człowieka pozostającego w głębokiej żałobie.

I jak gdyby nie wystarczało, że jeden z tych pozostałych zwrócił już na siebie uwagę, zabrzmiał jednocześnie z bocznego pokoju płaczliwy głos, który niebawem doszedł do najwyższego

napięcia skargi.

Zaledwie pani Andersen, która w kuchni tak zdrowo przejawiała praktyczne myśli, znalazła się przy boku proboszcza, doznała drgawek twarzy i poczuła szybko wzbierającą wilgoć w oczach i w nosie, co spowodowało gwałtowną potrzebę użycia batystowej chusteczki. Te refleksy uczuciowe wywołało wspomnienie rozczulającej chwili, kiedy proboszcz zwrócił uwagę uczestników pogrzebu na matkę pozostałą w głębokiej żałobie.

Kiedy teraz dobry proboszcz, powodując się szlachetnym zamiarem pocieszenia jej paroma serdecznymi słowy, zawiódł ją do bocznej izby, miejsce to przypomniało jej liczne godziny przepędzone przy łożu chorej i wzbudziło żałość w sercu. A chociaż izba zmieniła wygląd, to jednak widok z okien pozostał ten sam: przez jedno okno widać było wąski ogródek przed domem z grządką obramioną muszlami, pozbawioną świetności, bo kwiaty padły wczoraj ofiarą nożyc, aby przyozdobić grób; widać było przycięty żywopłot cierniowy, prześwietlający u podstawy, a dalej pola tu i ówdzie podzielone niskimi szeregami topoli – przed drugim oknem roztaczał się sad z konarzystymi gałęziami i omszonymi pniami. Jak często przez długie godziny spoglądała na ten obraz! I zaczęła głośno płakać częściowo pod wpływem istotnego wzruszenia, częściowo dlatego, że wedle jej mniemania tak wypadało.

Pastor Schmidt, okrągławy mężczyzna z grubymi wargami świadczącymi wybitnie o miłowaniu dobrych rzeczy, z

krótkim, szerokim nosem i z siwiejącymi, kędzierzawymi włosami, wypowiadał niejedno słowo pocieszenia. Kiedy to nic nie pomagało, a raczej przeciwnie, wskutek rozczulającego oddziaływania potęgowało jeszcze głośne wybuchy łez i jęków, przemówił do niej nieco surowiej mocą swego urzędu. Nie jest to słuszne, nie jest po chrześcijańsku, aby w ten sposób oddawać się rozpaczy nad otwartym grobem ukochanych zmarłych! Czyż nie śpiewamy tak pięknie: „Zachowujmy miarę w płaczu i żałobie"?! Czyż nie powinniśmy raczej zazdrościć tym, którzy odeszli już ze świata, ponieważ zasnęli w Panu i radują się teraz Jego szczęśliwością? Dzięki takiemu poglądowi i on sam przebolał utratę nieboszczki żony, a teraz modli się codziennie, by rychło mógł się z nią znowu połączyć. Dlatego też pierwsi chrześcijanie święcili nie dzień urodzin, kiedy człowiek wchodzi na tę dolinę łez, ale przeciwnie – dzień zgonu jako chwilę prawdziwych narodzin duszy. Nawet wśród starożytnych pogan niektóre narody hołdowały takiemu przeczuciu przyszłego życia i odnaleziono w ich dziejach ten piękny obyczaj.

– Ach tak, ach tak, to prawda… proboszcz mówi zupełnie sprawiedliwie – westchnęła dziedziczka – tutaj przez całe życie trzeba znosić same tylko trudy i udręczenia… Bogu wiadomo!

Przeszli z powrotem do świetlicy.

Tam przy stole hojnie zastawionym trunkami Smok opowiadał szeroko swemu sąsiadowi o ostatniej wycieczce do Kopenhagi. Bowiem ten północno-falsterski magnat ku wielkiemu niezadowoleniu swej pani matki przyzwyczaił się

przynajmniej raz na kwartał, a zazwyczaj i częściej, przedsiębrać „podróż w celach handlowych" do stolicy i rezydencji. Spotykał się tam zawsze z dwoma przyjaciółmi: byłym handlarzem zboża, pędzącym już od dawna spokojny żywot rentiera, oraz z handlarzem koni jeszcze uprawiającym ten zawód (od którego jednak nie kupiłby nigdy konia). W ich towarzystwie przepędzał trzy dni i trzy noce, grając na „kręgielni życia", jak się metaforycznie wyrażał.

Dobrze dobrał sobie słuchacza; był to starszy już chłopina, który nigdy nie wyjeżdżał z rodzinnej wyspy i nie bywał w żadnej kręgielni tego czy innego rodzaju, ale o którym opowiadano, że posiada ładny grosz złożony w kasie oszczędności w Nykjöbing. Z szerokich barów – jakby bezpośrednio, z pominięciem szyi – wyrastała czworokątna głowa o gładko wygolonej, szarej twarzy, zamiast oczu widniały dwie szczeliny, zamiast nosa – para dziurek, zamiast ust – wygięta szpara, łącząca nieomal jedno ucho z drugim. Twarz ta sprawiała wrażenie glinianego dzbana z nader uproszczonymi, naturalistycznymi rysunkami. W ten dzban wlewał Smok smakowity, mocno przyprawiony napój swego opowiadania o rozmaitych rodzajach uciechy, jakie (aż do „wszystkich dziewięciu") przeżywał na wspomnianej kręgielni. Podczas tej operacji szczeliny zmieniały się w kreski, szpara ust coraz skuteczniej usiłowała zlać się w jedno z uszami, raz po raz słychać było dziwny dźwięk, jak gdyby dzban pękał z naprężenia.

Te dowody chciwej uwagi pobudzały Smoka do coraz soczystszych wynurzeń, aż wreszcie doszedł do koronującego

opowieść momentu, że trzy dni i noce – wraz z podróżą tam i z powrotem – kosztowały go około stu marek. W chwili tego wyznania dzban trzasnął wprost podejrzanie; można się było obawiać, że lada chwila rozleci się na dwie połowy i spadnie ze swej czarnej podstawy.

– To prawie nie do wiary, Hoyerze! – wołał Smok, kładąc swą łapę z potężną siłą na ramię słuchacza. – Ale nie będziesz chyba wątpił. Zapewniam cię, że taki błękitny banknot rozłazi się tam jak głupkowaty… sto marek było i nie było… i dam ci to na piśmie… to znaczy… he, he! nie sto marek… nie czek… ha, ha… „sto marek na piśmie" można by źle zrozumieć… nie, nie… nie czek, Hoyerze, chociaż zapewne nie pogniewałbyś się o to? Nie, nie, rozumiałem to inaczej… ha, ha, ha!

Nie co dzień udawał się Smokowi taki doskonały, jego zdaniem, dowcip (i to jeszcze osobiście wymyślony i na własnych zamiłowaniach oparty dowcip!). Toteż fatalnie się złożyło, że całkowity sukces śmiechu zawiódł, ponieważ właśnie w tej samej chwili weszła z bocznego pokoju matka z proboszczem. Ale Smok bez okazania niezadowolenia poddał się sytuacji i uroczyście powitał szanowną parę, skrzywiając prawy kąt warg i marszcząc czoło – albowiem mimiczna jego gra nie ujawniała się w zbyt licznych odmianach. Jednocześnie westchnął głęboko (tak, że raczej mogło to świadczyć o bólu żołądka niż serca) i wpatrzył się melancholijnie w cygaro, jak gdyby tytoń był jedyną pociechą, jaka mu jeszcze pozostała.

A błazeńsko-dobroduszny dzban, siedzący obok, przemienił

się równocześnie z dziwną szybkością w stylową urnę z prochami.

Pastor Schmidt pochwalił sympatycznym skinieniem okrągłej główki odpowiednie zachowanie się Smoka, który, zachęcony tym, westchnął jeszcze głębiej, zaciągnął się dymem niosącego pociechę cygara, wydmuchnął powoli kłąb dymu i śledził go niewymownie skupionym spojrzeniem, jak gdyby przeglądając na wskroś mgliste właściwości „wszystkiego co istnieje".

– Niech pani wypije kroplę wina, droga pani Andersen – rzekł proboszcz, klepiąc pocieszająco i zachęcająco swą tłustą, białą ręką stuletni jedwab pokrywający otyły grzbiet towarzyszki – to pani posłuży… tylko kroplę!

– No, no, dwie także nie zaszkodzą, panie pastorze – oświadczył Smok, spostrzegając z prawdziwą radością serca, że hasłem jest „rozweselenie". – Tak, mateczko! Łyk wina to najwłaściwsze dla człowieka, którego oblewała woda, ha, ha!… Dar boży, panie pastorze… raduje ludzkie serce… święte słowo, prawda?… Lej pan śmiało… – dodał, widząc, że kapłańska ręka, która rozważnie zawładnęła flaszką, zanim Smok zaofiarował swe usługi, napełniła kieliszek tylko do połowy. – Dobry towar, ten portwein… sam przywiozłem go z miasta… bo ten poczciwy Jakub… na ogół jest on smakoszem… zawsze to powiadam, że Jakub jest smakoszem, i dam mu to na piśmie… ale w tych dniach, mój Boże!…

Pełne troskliwości wstrząśnięcie głową i współczujące spojrzenie w stronę ogrodu, gdzie widać było wysoką postać

młynarza, stojącego w odległości paru kroków od drzwi, dokończyły wymownie przerwane zdanie.

Pastor Schmidt skinął potwierdzająco i podał matce Smoka napełniony do połowy kieliszek, sam zaś na własny użytek nalał sobie więcej aniżeli skromną ilość brunatnego płynu – podzielał bowiem tylko częściowo korzystne mniemanie Smoka o portweinie.

– Trąćmy się zatem wszyscy z sobą – odezwał się sakramentalnym głosem, zwracając się dokoła skinieniem ręki – i wychylmy nasze kielichy z tym życzeniem, aby nasz drogi przyjaciel tu w młynie, dzięki łasce bożej i czystości serca, znalazł ulgę i pocieszenie w tym ciężkim smutku!

Chłopi podnieśli kieliszki i niby chór przyświadczyli głuchym pomrukiem. Ale Henryk jako przywódca chóru zapragnął nadać temu pomrukowi bardziej zdecydowany wyraz, a jednocześnie uzupełnić nieco kościelne zakończenie toastu czymś bardziej energicznym, toteż odezwał się następującymi dobranymi słowami:

– Słusznie pan powiedział, pastorze! Pociechę w smutku, zawsze to mówię… Do licha, Jakub jest przecież jędrnym chłopem… nie może tak wiecznie chodzić ze zwieszoną głową… Były to smutne czasy… Żyć tak z chorą kobietą… Biedna Chrystyna… niech ją Bóg przyjmie do swojej łaski!… Ale teraz leży już w ziemi… więc teraz i on musi podnieść głowę… dlatego wypijmy: niech nam ży…!

Przerażony wzrok, jakim matka powitała to jego wylewne

krasomówstwo, powstrzymał połowę słowa w radośnie otwartych ustach, druga połowa ugrzęzła w gardle, wywołując coś niby chrząknięcie. Dzięki jednak właściwemu uzdolnieniu muzykalnemu mówcy nieszczęsny kres toastu niezbyt się różnił od tonu mowy, toteż nietrudno było do tego nawiązać.

– Hm… niech żyje… czystym sercem… jak powiada proboszcz… otóż to właśnie… i niech znajdzie pociechę… prawdziwą pociechę… he, prawda…

Tym razem mówca przerwał sam sobie, aby podczas tej krótkiej, retorycznej pauzy, która wszystkich prócz niego nieco zaniepokoiła, wykonać trudne mimiczne ćwiczenie twarzy. Najpierw przymknął lewe oko i łypnął prawym, potem na odwrót, a kiedy już w ten pomysłowy sposób dostatecznie przygotował zebranych, że teraz należy oczekiwać rodzynka, mówił dalej:

– Nie taką pociechę, jaką może dać miła Liza… he… zresztą ładna, tęga dziewucha…

– Henryku!

Matka Smoka znieruchomiała ze zgrozy, pojąwszy, że pogorszyła tylko sytuację, przeszkadzając poprzednio wygłoszeniu toastu. Teraz nareszcie odzyskała mowę, skoro wszelkie ostrzegawcze spojrzenia nie wystarczyły:

– Henryku!

Smok umilkł zakłopotany, skrzywił się dziwnym grymasem, którym prawdopodobnie chciał się uniewinnić, machnął ręką obojętnym gestem i dokończył:

– Hm… tak… jak powiedziano, pociechę w smutku… zawsze wesoło… jakoś to będzie… z bożą pomocą… jakoś to będzie, panie pastorze, *skaal*!

Wyczuwał zapewne, że nie osiągnął w zupełności tego wzniosłego końcowego efektu, o jakim myślał. Ale, do diabła, jakże wóz może się rozpędzić, jeżeli co chwila ktoś ciągnie hamulec?!

Aby poniekąd uzupełnić ten brak, wzniósł teraz uroczyście swój pełny kieliszek, z którego wino przelewało się przez brzegi, i trącił się bardzo serdecznie z prawie pustym szklanym kielichem, który biała ręka proboszcza wysunęła ostrożnie naprzeciw.

Kielich wydał smutny, prawie bezdźwięczny ton, zakłócony niezwykle cienkim odgłosem – odgłosem niemal niesamowitym, jak gdyby maleńki kobold coś przełykał.

I gdyby naprawdę tak było, na obliczu pani Andersen nie malowałoby się z pewnością wielkie przerażenie. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w pęknięty kieliszek proboszcza. Cały chór spojrzał również w tamtą stronę i zapomniał o piciu.

Nagle w tym kole rozległ się chichoczący trzask, jak gdyby dzban pękł wskutek sympatii do kieliszka – jeżeli nie było to złudzenie słuchu. Albowiem każdy, kto zerknął w tym kierunku, spostrzegł, zamiast zapowiadanego tym tonem błazeńskiego ornamentowanego dzbana, stylową urnę z prochami na czarnej podstawie.

I proboszcz zapomniał o piciu, i on wlepił wzrok w

kieliszek, który trzymał przed sobą w wyciągniętej ręce. Od brzegu aż do nóżki widniało błyszczące pęknięcie. Zwykle czerwona, tryskająca zdrowiem twarz pastora pokryła się ziemistą bladością, ręka jego drżała, tak że szrama pękniętego szkła zataczała w powietrzu świetliste arabeski.

Wreszcie zapanował nad sobą, przełknął wino z taka miną, jak gdyby wypijał truciznę – co oczywiście nie miało nic wspólnego z jakością szlachetnego napoju – uśmiechając się niepewnie, rozejrzał się dokoła i oświadczył cienkim, suchym głosem, pozbawionym zwykłego namaszczenia:

– No… nie hołdujemy przecież przesądom.

Naprawdę jednak należał pastor Schmidt do rodziny, w której, dokąd sięgała kronika rodu, wszelkie znaki tajemne i przeczucia grały doniosłą rolę, w której wydarzały się nawet przypadki rozdwojenia osobowości i która potajemnie przyznawała się do wiary w prorocze przywidzenia. Toteż pastor był przekonany w tej chwili, że owa wieczysta szczęśliwość na łonie Abrahama, której rychłe osiągnięcie sławił dopiero co jako najgodniejszy cel życia, już teraz sygnalizuje mu swoje nadejście i że już niebawem będzie mu dane zostać obywatelem lepszego świata, dzięki czemu wypełni się jego codzienna modlitewna prośba i jeszcze przed końcem roku połączy się ze swoją nieboszczką żoną. Wszak w ostatnie jej urodziny zasiedli do stołu w liczbie trzynastu osób!

Podczas tego wstrząsającego przeżycia wyczuł raczej, niż pojął zmysłami, że spoczęło na nim nieżyczliwe spojrzenie kogoś

nienależącego do tego koła.

Oczywiście, nie mógł zauważyć, że leśniczy Christensen, który jeszcze niedawno, kiedy Smok wspomniał o „biednym Jakubie", rozmawiał w ogrodzie z gospodarzem domu, wszedł właśnie do izby i zbliżył się do stołu, aby wziąć cygaro.

Ten leśny człowiek – podobnie jak prawie wszyscy obcujący ustawicznie z przyrodą – miał żyły nabrzmiałe mistycyzmem. Wierzył może bardziej niż wszyscy inni w przepowiednie i znaki, toteż niebawem pojął sytuację. Kiedy więc teraz proboszcz obejrzał się pod wpływem doznanego uczucia, spotkał się z przenikającym go spojrzeniem jasnych i zimnych oczu leśniczego. Wiedział, że ten pobożniś, ten apostoł „wewnętrznego posłannictwa" posądzał go o światowość, a nawet często nazywał go proboszczem do *l'hombre*[10] – jak gdyby to było grzechem zagrać w karty parę razy w tygodniu (nie mówiąc już o tym, że proboszcz hołdował wytwornemu wistowi, nie zaś poczciwemu, plebejuszowskiemu *l'hombre*). Czuł, że ten przeciwnik przejrzał go w bardzo niepożądany sposób; czytał w jego spojrzeniu bezlitosną pogardę dla obawy przed śmiercią, której to obawy zwiastun bożego słowa nie zdołał całkowicie ukryć.

„Gdyby ten fanatyk – myślał – słyszał przedtem rozmowę, jaką prowadziłem w narożnej izbie z panią Andersen, uważałby mnie za skończonego obłudnika! A jednak powinien by pamiętać, co mówi Pismo Święte, że duch ci wprawdzie jest

[10] *l'hombre* – stara gra francuska, popularna w Skandynawii. [przypis tłumacza]

ochoczy, ale ciało mdłe".

Jego ciało było w tej chwili istotnie bardzo mdłe; czuł się nieswojo w tym wiedzącym kole, a przede wszystkim w towarzystwie tego człowieka. Przez otwarte drzwi wyszedł do ogrodu.

Ach! Jakże rozkosznie oddychało się – po gęstym dymie z tytoniu, który bynajmniej nie był produktem Hawany – łagodnym, wilgotnym wiosennym powietrzem, w którym mieszał się brzemienny urodzajem zapach pól ze słoną świeżością morza. Chociażby nawet był tchórzliwym człowiekiem – żył jeszcze i wdychał pełną piersią powietrze tej doliny łez!

Jego wielebność rozejrzał się dokoła z uśmiechem pełnym błogosławieństwa. Chłopki, które rozsiadły się z prawej strony na długiej ławie jak kury na grzędzie, zobaczywszy go, umilkły nagle. To skłoniło proboszcza, że podszedł ku nim i zagłębił się w praktyczną, doskonale oddziaływającą na równowagę umysłu rozmowę, zasięgając dokładnie informacji o gospodarce w rozmaitych sadybach, rozwodząc się szeroko nad przypuszczalnymi widokami wiosennych zasiewów i opowiadając o dzierżawie gruntów probostwa. Obecna dzierżawa dobiegała końca, nie chciał więc pominąć tej korzystnej sposobności, by wyjaśnić tej i owej wieśniaczce, jak zyskowne byłoby, gdyby właśnie ona objęła dzierżawę. Dla tej sadyby położenie gruntów proboszczowskich było wyjątkowo dogodne, dla drugiej oddalenie – z tych i innych dziwnych przyczyn

– nie odgrywało wcale roli, a natomiast śliczny szmat łąki zapewniał dzierżawcy wyjątkowe korzyści przy hodowli koni – był prawdziwym rajem dla źrebiąt! A znowu dla innego chłopa, znanego jako Nemrod, las przedstawiał nieocenioną wartość.

Dzielne wieśniaczki nie ukrywały także swego rozumu; wytaczały wszelakie zarzuty, podnosiły te lub owe wątpliwości, a niektóre wyraziły nawet przypuszczenie, że czynsz dzierżawny będzie obniżony ze względu na złe czasy. Wywiązała się ożywiona pogawędka, w której nie brakło także żartobliwych poufałości i drwinek. Ktoś przysłuchujący się nie przypuszczałby chyba, że otyły proboszcz, tak gorliwie, zarazem tak dobrodusznie broniący swoich interesów, przemyśliwa już o rozstaniu się z doczesnością. On sam z przykrością przypomniał sobie o tym na chwilę, kiedy leśniczy wyszedł z domu i przechodząc mimo niego, obrzucił go przelotnym spojrzeniem. Ale niebawem przyłączył się do swej siostry i do młynarza i wszyscy troje zapuścili się w głąb sadu ku wielkiemu uspokojeniu proboszcza. Na ławce, stojącej z lewej strony koło drzwi, pozostał jeszcze tylko nauczyciel i mały Janek – istoty tak samo nieszkodliwe jak pudel Karo, który siedział przed nimi, wtykał pomiędzy nich nos i kolejno spoglądał to na jednego, to na drugiego.

Na cmentarzu chłopak zalewał się gorącymi łzami. Ale serdeczna życzliwość wielu obcych ludzi, jaką mu okazywano, rozproszyła powoli jego smutek, a kawa i ciasto przyczyniły się również do rozweselenia chłopięcej duszy. Teraz znajdował

się w lepszych rękach aniżeli poprzednio, kiedy kobiety skakały dokoła niego i wyprzedzały się w pieszczotach. Nauczyciel wyswobodził energicznie chłopca z tej niewoli babskich kiecek.

Był to młody, blady człowiek, przyjaciel dzieci raczej z wyrozumowania niż z natury, przepełniony nieosłabioną jeszcze miłością swego „powołania", zbrojny naiwną wiarą w wszechpotęgę wykształcenia. Starał się rzetelnie, by umocnić tę małą roślinkę, która wyraźnie opuszczała liście. Toteż z niezwykłym zapałem kreślił obraz pięknej przyszłości, kiedy to Janeczek już w najbliższym roku zacznie chodzić codziennie do szkoły, aby tam nauczyć się czytania liter i wypisywania ich rysikiem na tabliczce. A ponieważ wspaniałość tych zajęć nie od razu przemówiła do dziecięcego umysłu, dodał jeszcze, że Janeczek będzie się także wdrapywał po słupie, stojącym prosto jak maszt sztandaru, i że w szkole jest jeszcze inny, poprzeczny drążek, na który chłopcy drapią się rękami i nogami jak małpy.

Ta myśl tak rozweseliła chłopca, że pobiegł natychmiast do domu, aby przynieść książkę z obrazkami i pokazać nauczycielowi figlarne małpy na drzewie. Dzięki temu lody zostały przełamane, a kiedy chłopiec uświadomił sobie, że do szkoły uczęszcza wielu innych chłopców i dziewcząt, z którymi wolno się bawić, okazał zadowolenie i zadając wyczerpujące zapytania, wżywał się już w tę piękną przyszłość.

IV

Tymczasem młynarz, leśniczy i jego siostra przeszli parokrotnie przez sad, rozmawiając swobodnie o tym i owym. Wreszcie zatrzymali się jakby bezwolnie w najdalszym zakątku, gdzie krzaki bzów, pokryte gęstym liściem, zwieszały się nad małym stawem. Dwie białe kaczki jaśniały w cieniu, pływając; ciemna woda rozbłyskiwała szeregiem falistych kręgów – tu i tam kołysał się łukowato wygięty, drobny puch niby okręt elfów.

Rozmowa rwała się; młynarz był zbyt niespokojny, aby jej tok podtrzymać. Rodzeństwo także widocznie czymś się dręczyło, nie mając dotychczas czy sposobności, czy odwagi wypowiedzenia się.

Miejsce było odległe, a czarnozielona woda szkliła się jakimś mistycznym blaskiem.

– Jakubie – przemówił leśniczy cicho głosem inaczej brzmiącym niż zazwyczaj – czy wiesz dokładnie, o której godzinie Chrystyna umarła?

– O tak, pamiętam dobrze… Słyszałem, jak biła dwunasta, gdy jeszcze trzymałem ją w ramionach.

Hanna i jej brat wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– Tak, tak właśnie przypuszczaliśmy.

Młynarz spojrzał na nich zdziwiony.

– Jak to rozumiesz?

– No, otrzymaliśmy jednocześnie sygnał. Zresztą Hanna lepiej

ci to opowie.

Siostra zarumieniła się i zwróciła w bok oczy, chcąc uniknąć tego dziwnego, trochę zaniepokojonego, pytającego spojrzenia, jakie utkwił w niej młynarz.

– Cóż się to stało, panno Hanno? W jaki sposób otrzymaliście sygnał?

Splotła nerwowo ręce i uporczywie wpatrywała się w białe puchy żeglujące po ciemnym stawie.

– Otóż… tej samej nocy położyłam się do łóżka o zwykłej porze, o godzinie dziewiątej… nagle przebudziłam się zupełnie czujna i wtedy to zapukało w szybę.

– Kto zapukał?

Młynarz zbladł i uchwycił ją za ramię, natychmiast jednak wypuścił je z uścisku bardzo zakłopotany.

– Nikt nie pukał; doznałam tylko takiego wrażenia.

– Jak gdyby ktoś pukał kością w szybę – dodał jej brat.

– Czy nie wyjrzała pani przez okno?

– Nie od razu… Najpierw przestraszyłam się, a potem odwróciłam się na łóżku i próbowałam znów zasnąć… byłam przekonana, że to jedynie złudzenie zmysłów… Potem jednak posłyszałam jeszcze raz wyraźne pukanie – tak samo jak poprzednio. Zerwałam się z łóżka i podbiegłam do okna, ale na dworze nie było nikogo. Księżyc wznosił się wysoko nad szczytami jodeł i świecił dosyć jasno, można było rozróżnić wyraźnie cień drzew, ale nie dojrzałam nikogo.

– Nikogo? Ale chyba przestraszyła się pani bardzo?

– Bynajmniej, doznałam tylko jakiegoś podniosłego wrażenia. Szybko narzuciłam ubranie i poszłam do pokoju Wilhelma.

– Ja zaś właśnie w owym dniu kończyłem obrachunki, które należało odesłać nazajutrz. I właśnie spojrzałem na zegar, a zobaczywszy, że jest już dwunasta godzina, zmartwiłem się, że muszę jeszcze tak późno pracować… Wtem weszła Hanna… nie była wcale przestraszona, na twarzy jej malował się uroczysty nastrój, jak to sama powiada… Skoro zaś opowiedziała mi o tym, oświadczyłem bez zastanowienia, jakby pod przymusem; „Nie ulega wątpliwości, to młynarzowa umarła!”… Tak powiedziałem.

– A szczególne było i to także, iż kiedy Wilhelm wyrzekł te słowa, wydało się, że wypowiedział właśnie moje myśli… aczkolwiek poprzednio, jak sobie przypominam, nie zastanawiałam się wcale, co by to oznaczało.

– Potem złożyliśmy ręce i pomodliliśmy się cicho za jej duszę.

– Bardzo to ładnie, że modliliście się za nią – rzekł młynarz silnie wzruszony.

– Wreszcie zapaliliśmy latarnię i wyszliśmy na dwór, aby się upewnić… I to jest pewne, że nikt nie zbliżał się do okna: nie było śladów, chociaż ziemia była tak miękka, że każdy nasz krok pozostawiał wyraźne odciski.

Młynarz wpatrzył się przed siebie nieruchomym wzrokiem i potrząsnął głową… był to raczej ruch namysłu niż powątpiewania. Ale leśniczy widocznie inaczej go zrozumiał.

– Któż mógłby przypuścić coś podobnego? – zauważył po

krótkiej chwili milczenia. – Nie, to na pewno nie ręka ludzka pukała w okno, Jakubie.

Hanna, obrażona nieco tym pozornym powątpiewaniem w jej telepatyczne zdolności, zwróciła się ku młynarzowi z rumieńcem na twarzy i z płonącymi oczyma.

– Od dawna już wiadomo, że dusza ludzka posiada tajemne siły, zwłaszcza gdy rozłącza się z ciałem… w chwili śmierci…

– Tak jest – rzekł młynarz – zresztą Chrystyna przejawiała takie tajemne siły jeszcze za życia.

– Jak to? Doprawdy? – zapytało rodzeństwo z ogromnym przejęciem.

– Właściwie, prawdę mówiąc, przejawiło się to dopiero w czasie choroby.

– Tak, kiedy ciało chyli się ku zagładzie, duch rozwija skrzydła, nieśmiertelność duszy objawia się dowodnie – oświadczyła Hanna z płonącym spojrzeniem, nieświadomie powtarzając frazes z jakiejś sekciarskiej broszury.

– Jakież to były siły, Jakubie?

– Wiedziała i słyszała to, czego cielesnym okiem i uchem dostrzec nie mogła… to było bezwarunkowo niemożliwe… wiedziała wszystko, co się dzieje w młynie.

– Hm… W takim razie i to pukanie nie było czymś zgoła nadzwyczajnym – oświadczył leśniczy.

– Może myślała o przyjaciołach w chwili śmierci, więc i o nas także.

– Tak, tak było istotnie. A nawet myślała specjalnie o

pani… inaczej aniżeli o innych… z pewnym celem… jakby to powiedzieć… dlatego duch jej mógł powędrować ku pani, aby jednocześnie z ostatnią wolą przekazać pani niejako pewną spuściznę.

Młynarz wypowiedział te słowa w wielkim podnieceniu, równocześnie spojrzał jej dziwnie w oczy – było to to samo spojrzenie, jakim obrzucił ją przy wrotach cmentarnych, tylko jeszcze bardziej pogłębione mistycznie. Słowa młynarza wydały się jej dziwnie niezrozumiałe, a spojrzenie zaniepokoiło ją.

– A więc wspominała o Hannie? – pytał leśniczy.

– Prawdę mówiąc, nie bezpośrednio… nie wymieniła jej imienia… ale na pewno myślała wówczas o twojej siostrze. Wydawało się, że wprost uczepiła się tej myśli…

– Hm… więc cóż powiedziała?

– Tego właśnie nie mogę wam wyjaśnić… to znaczy, nie teraz… dowiecie się wszystkiego, gdy nadejdzie właściwa chwila.

Pełne tajemniczości zachowanie się młynarza podziałało na dziewczynę. Odwróciła się i poszła ku domowi; obaj mężczyźni powoli, w milczeniu postępowali za nią. Młynarz nie mógł oderwać spojrzenia od młodocianej postaci. Doznawał wrażenia, że pociąga go ku niej nie tylko przyrzeczenie, jakie dał nieboszczce, ale że oboje zostali tajemniczo połączeni ręką ducha.

Kiedy zbliżyli się ku ławce przed domem, podbiegł z naprzeciwka Janek uradowany, że może się pozbyć nauczyciela,

którego szlachetne usiłowania, by rozbawić i rozweselić chłopca opowiadaniem o życiu w szkole, osiągnęły wręcz przeciwny skutek i znudziły dzieciaka. Janek przypomniał ojcu obietnicę, że niebawem odwiedzą w lesie wuja Wilhelma i ciocię Hannę. Ale zapewne nieświadomie przypomniał sobie również dzień śmierci matki, kiedy właśnie ojciec na wzgórzu w ogrodzie mówił o tych odwiedzinach. Toteż nagle wybuchnął płaczem. Hanna usiadła na ławce, wzięła chłopca na kolana i niebawem udało się jej uciszyć jego płacz. Opowiadała mu malowniczo o wspaniałościach lasu, osładzając je jeszcze obrazem poziomek i jagód, mówiła o psie Hektorze, o obu kucykach i o Jenny, sarence z bajki.

Z rosnącym zadowoleniem przyglądał się młynarz, jak dziewczyna instynktownie wchodzi w rolę matki, w rolę, którą narzucało jej przeznaczenie; choć nie mniej cieszył się i tym, że chłopiec z własnej woli okazuje jej dziecięce przywiązanie.

Natomiast nauczyciel objawiał niezadowolenie, że chłopiec popadł znowu w płaczliwy nastrój, skoro tylko dostał się w ręce kobiet. Usiłował z pomocą książki i rysika zwalczyć przygnębienie duchowe młodego człowieka obrazem męskich zajęć, mówił głośno o rozkoszach szkoły, a wreszcie wezwał na ratunek proboszcza, który stał jeszcze przy drugiej ławce, rozmawiając swobodnie z wieśniaczkami.

– Prawda, pastorze, że Janek za rok…

Proboszcz wzdrygnął się, posłyszał znowu głuchy, nieczysty brzęk szkła, cienki niesamowity odgłos, jak gdyby maleńki

kobold coś przełykał… „za rok?”.

W tej samej chwili wyszła z domu Liza, aby zebrać talerze i filiżanki stojące na stole w ogrodzie.

Aha! Chłopiec siedzi już na kolanach! Ta wstrętna obłudnica umie, bądź co bądź, dochodzić do celu najprostszymi drogami! I jak on się do niej tuli, ten mrukliwy łobuz, którego ona sama daremnie usiłowała przynęcić i oswoić! A młynarz stoi obok! Więc to *tak* na nią spoglądał… o czym Lars wspominał. Jakiż wzruszający obraz rodzinny! Nie brak nawet proboszcza i nauczyciela… można by ich od razu pożenić!

Całe ciało Lizy zatrzęsło się wściekłością. Piękna, pozłacana filiżanka potoczyła się po piasku i rozbiła się o kamienny stopień.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku Lizie.

Zanim jeszcze przybrała zasmuconą minę służącej, której wydarzyło się nieszczęście, że zniszczyła cenną pamiątkę rodzinną, z oczu jej strzeliło spojrzenie. Podchwycił je tylko jeden jedyny młynarz.

Twarz jego zachmurzyła się cieniem, który trudno byłoby przypisać na konto stłuczonej filiżanki.

V

Historia panienki Metty i giermka Hjalmara kończyła się przerażająco.

Była połowa sierpnia. Młyn albo stał nieruchomy, albo pracował ospale tylko jednym przewodem. Na dworze powietrze błękitniało i drgało ponad żółtawobiałymi łanami żyta. Na przekór grubemu, słomianemu płaszczowi, okrywającemu młyn, wewnątrz żarnowego piętra panował ustawicznie parny upał. Tutaj Jörgen w pocie czoła brnął poprzez zakończenie kalendarzowego romansu, kiedy niekiedy zasypiał też na worku, a wówczas dręczyły go złe sny, złożone z fragmentów okropności, o jakich czytał.

Historia zaś rozwijała się jak następuje:

Panna Metta osiągnęła swój cel: poślubiła Czerwonego Rycerza, zasiadła jako pani na Morskim Zamku i – gdy małżonek był nieobecny – zażywała występnej miłości w ramionach giermka Hjalmara. Już uplanowali oboje, jak usunąć z drogi rycerza, by śmierć jego wydała się nieszczęśliwym wypadkiem, gdy niespodziewanie nadjechał wuj Metty, zacny biskup Otto. Temu to pobożnemu mężowi objawiła się zdradziecko zamordowana dziewica Karen, bynajmniej nie dlatego, by pomścić własną śmierć, ale by uchronić ukochanego przed tym samym losem, który przedwcześnie przeciął nić jej młodego życia. Przeszukano skrzynie i schowki pani

Metty, znaleziono w nich rozmaite podejrzane proszki oraz tajemnicze, kabalistyczne napisy. Skutą łańcuchem z giermkiem przywieziono drabiniastym wozem do miasta i wrzucono do wieży. A gdy oboje nie chcieli dobrowolnie wyznać swej zbrodni, oddano ich w ręce kata, poddano ich kolejno, wedle wszelkich prawideł surowego trybunału, najsroższym torturom, a wreszcie stracono.

Autor powieści zwiedzał prawdopodobnie kiedyś izbę tortur w Norymberdze albo też inną podobną zbrojownię ludzkiego okrucieństwa. Z szczegółową dokładnością opowiadał o przebiegu rozprawy, z nielitościwą wyrazistością rysował każde narzędzie tortury i przedstawiał jego działanie w zastosowaniu do mniej lub więcej obnażonego pięknego ciała. W poprzednich rozdziałach powieści przyzwoitość kalendarzowego powieściopisarza nie pozwalała mu obnażać najtajniejszych wdzięków pani Metty rękami niewidzialnych amorków. Ale doszedł do przekonania, że dzicy oprawcy mogą to uczynić bez zawstydzenia; tortura stała się łożem, na którym pokazał czytelnikowi nagą bohaterkę.

Na naiwną, ale właśnie dzięki temu silną i łatwo pobudliwą wyobraźnię Jörgena oddziaływało to tak potężnie, że podczas całej tej lektury doznawał wrażenia, jak gdyby to on sam był smagany i łamany kołem. Nawet wówczas, kiedy odkładał książkę, pozostawał pod władzą katowskiej zmory – zagnieździła się ona tajemniczo w jego codziennym otoczeniu.

Młyn, który na początku opowiadania wyobrażał zamek,

zmienił się teraz całkowicie w wieżę udręczeń, z piętra na piętro przechodziło się ku coraz sroższym torturom. Dzięki swemu ciężkiemu, pokrytemu grubą warstwą kurzu, obwieszonemu pajęczynami belkowaniu każde z tych pięter – zwłaszcza w godzinie zmierzchu – upodabniało się do niesamowitych, ponurych izb wieżowych, o których czytał. Zwłaszcza późno wieczorem, kiedy nikła latarka, zawieszona na gwoździku wbitym w belkę, roztaczała słaby krąg światła, poza którym ciemność tym groźniej się skupiała – zwłaszcza wówczas wydawało się, że wszystko jest przygotowane do strasznego przesłuchania, a niewyraźnie majacząca w cieniu maszyna do sortowania zmieniała się w najprawdziwszą ławę tortur oczekującą na ofiarę.

Kiedy na górze winda poczynała skrzypieć i zgrzytać i wyciągano worek w górę, Jörgen musiał myśleć o swoim drugim romantycznym *ja*, o nieszczęsnym Hjalmarze, ciągnionym w górę za palce. Kiedy dotknął ręką obrotnicy, aby nastawić śmigi pod wiatr, wzdrygał się na myśl o „żelaznej dziewicy", która zamykała się dokoła ofiary, dziurawiąc ją i miażdżąc. Ale najstraszniejsze wrażenie budził sam mechanizm młyna kręcący się ustawicznie wśród nieregularnego, zjadliwego zgrzytu. Wydawał się on Jörgenowi olbrzymią, niezmiernie skomplikowaną machiną do tortur: były tam koła, w które „wplatano" skazańca – Jörgen miał, co prawda, dość chaotyczne wyobrażenie o tym, ale przypuszczał, i słusznie, że nie było to bynajmniej przyjemne – były tam zębate koła, których zęby

rozdzierały ciało, były koła do łamania, których każdy ruch kruszył kości. Niewiele brakowało, by Jörgen widział spływanie kropli krwi z piętra na piętro.

W tej samej mierze jednak, w jakiej młyn zmieniał się w ponurą wieżę udręczeń, zmieniał się jednocześnie także w jasną świątynię erotyzmu. Spośród ohydnych cieni narzędzi tortury rozbłyskał blask obnażonego kobiecego piękna – w uczucie grozy mieszał się lubieżny dreszcz przeczucia tego dumnego i grzesznego ciała, które oddawano na pastwę tortury. Było to, oczywiście, tylko nieokreślone i nieuświadomione przeczucie, jakiego doznaje młody chłopak, który wskutek wychowania na wsi nie oglądał nigdy statuy ani obrazu pięknej nagości. Wyobraźnia Jörgena, która już dawno narzuciła Lizie rolę Metty, wyczarowywała mu w leniwe, parne popołudnia rozmaite współczujące sny; serce jego przepełniało się bolesną słodyczą, puls uderzał gwałtownie, z oczu nieraz tryskały łzy, chociaż nie wiedział właściwie, czemu płacze; ogarniało go uczucie złości na nic i na wszystko, uczucie bezbrzeżnej nudy. Niekiedy zaś rodziła się w sercu gorączkowa tęsknota za Lizą.

Tęsknota – albowiem wydawało mu się, że Liza jest daleko. Od owej wieczornej godziny w czeladnej izbie – w noc, kiedy młynarka umarła – nie zbliżyła się już nigdy tak bardzo ku niemu; co więcej, po raz ostatni siedzieli wówczas sam na sam, rozmawiając poufale ze sobą. Jörgen nieraz zamykał oczy, aby jeszcze raz ujrzeć jej dziwną twarz, jaką zobaczył wtedy, oświetliwszy ją z dołu zapałką. A gdy udało mu się wywołać ten

obraz, wpadał w silne i trwałe podniecenie.

Tak podniecony był właśnie owego wieczora, kiedy Liza przyniosła mu wieczerzę do młyna. Zazwyczaj przysyłała na górę Larsa, a poczciwy chłopiec wykonywał to polecenie ze szczególnym zadowoleniem, albowiem upatrywał w tym dowód, jak mało Liza dba o tego zarozumialca Jörgena. Zresztą nie było to niczym nadzwyczajnym, że sama przynosiła jedzenie. Prawie zawsze jednak oddalała się niezwłocznie. Dzisiaj nieproszona usiadła na worku, stęknęła z gorąca i spojrzała na Jörgena, zdumionego tym nieoczekiwanym szczęściem. Niebawem Jörgen zrozumiał; gdy niedawno wyszedł na galeryjkę, ujrzał, że młynarz i Janek idą do Smoczego Dworu. To była niezwykła okazja! Teraz nieprędko wypuści Lizę!

– Nie pożeraj mnie oczyma! Jedz raczej zupę!

Jörgen zabrał się do jedzenia.

– Bardzo to ładnie, że trochę odpoczywasz – zaczął rozmowę, mając pełne usta – zazwyczaj tak bardzo się spieszysz!

– No tak, zdaje się, że nie brakuje tu chyba roboty w młynie… trzeba się ostro krzątać… Ale dzisiaj wieczorem ogarnie mnie lenistwo… zresztą dzisiaj za gorąco!

Ziewnęła serdecznie.

Jörgen podszedł ku zapadni i otworzył ją ostrożnie, chcąc zajrzeć na dolne piętro.

– Nie – zauważyła Liza. – Posłałam Larsa do ogrodu, aby narwał agrestu.

– Lizo!

– No, cóż znowu…

Nie dokończyła. Uszczęśliwiony myślą, że Liza sama przygotowała w ten sposób spotkanie bez przeszkody, Jörgen otoczył ją już ramieniem. Zrazu dzielnie stawiała opór, ale niebawem przestała się wyrywać. Zaledwie jednak wąsy Jörgena dotknęły jej twarzy, wymknęła się w niepojęty sposób z jego objęcia, odtrąciła go, tak że runął na worek – i stanęła obok schodów.

– Nie, coś takiego! – oświadczyła ze złością. – Przychodzę tu, aby trochę pogawędzić z tobą… całkiem przystojnie, a tymczasem… fe, wstydź się!

Jörgen istotnie się zawstydził, ale tylko dlatego, że nie potrafił wyzyskać sytuacji.

– O, nie bądź no tak harda! Nie jesteś jeszcze młynarką!

– Właśnie dlatego.

Spojrzała na niego tak dziwnie, że się stropił.

– Jak to rozumiesz?

– Rozumiem tak, że jesteś głuptasem i że słusznie należy ci się kara.

Odwróciła się ku wyjściu.

– Opowiadałaś mi sama, że młynarz cię całował – rzekł Jörgen mrukliwie.

– Młynarz, no tak… to co innego.

– Czemu?

– Wiesz przecież. Młynarz będzie moim mężem.

– Wówczas nie było o tym mowy. Wówczas młynarka jeszcze

żyła.

– Ach tak, biedaczka! Przecież każdy mógł spostrzec, że ona nie pociągnie już długo. A wobec tego wolno mężczyźnie zawczasu upatrywać inną.

– Czy powiedział ci, że się ożeni z tobą? – pytał już innym tonem, pełnym zainteresowania.

– No tak, uważasz… właśnie o tym należałoby pogadać, gdybyś był rozsądny… dlatego przyszłam tutaj… a tymczasem ty zaraz robisz głupstwa!

– No, więc siadajże… niech tam… niech będzie tak, jak chcesz.

Liza usiadła znowu na worku.

– Polewka całkiem wystygnie… Dużo pomogło, że się tak spieszyłam!

– Nie jest jeszcze zimna, a lepiej, że nie parzy gęby – odpowiedział Jörgen, zajadając smacznie.

– Otóż do tego nie doszliśmy jeszcze – oświadczyła Liza po krótkim milczeniu – wyobrażasz sobie, że to można tak raz, dwa, trzy.

– No, nie zapominaj, że już kawał czasu upłynął, odkąd pochowaliśmy młynarkę.

– Czy przypominasz sobie jeszcze, co gadaliście wówczas… w izbie czeladnej… o siostrze leśniczego?

– To ten dureń Lars!

– Dureń?… Mnie się zdaje, że on był wtedy mędrszy od was.

– Jakże to? – zawołał Jörgen, wpatrując się w nią z

przestrachem… – Przecież majster nie zamierza chyba ożenić się z tą…?

– No, nie są jeszcze po słowie, ale z pewnością nie ona będzie winna, jeżeli to nie nastąpi prędko.

– Ależ, Lizo, gadajże wyraźnie, co wiesz o tym?

– Tak, on jest myślą ciągle tam w lesie u nich… A potem wstydzi się… wobec mnie… ale bachor gada wszystko o cioci Hannie… i o Jenny…. o „słodkiej Jenny"!

– Któż to Jenny?

– Oswojona sarna… Jak ja nienawidzę tego bydlęcia! A dzieciak naprzykrza się ciągle; teraz już od pół miesiąca tam nie byli… I ona także niegłupia, ta bestia! Od razu przyhołubiła chłopca!

– Otóż i ja nieraz myślałem, że Janek stanie ci na przeszkodzie, bo cię nie cierpi.

Liza zmierzyła go nieżyczliwym spojrzeniem; przypomnienie tego przeciwnika nie było jej miłe.

– Ale cóż młynarz?

– Ej… spaceruje z nią i z jej bratem po lesie, potem siedzi w świetlicy, a ona wygrywa mu na fortepianie, bo i to umie… ej, to wielka dama, panna Christensen.

– Ale on… czy zakochany w niej?

Liza zaśmiała się szyderczo.

– Zakochany?… Nie, co to, to nie… Ale mimo to chętnie się z nią ożeni… przynajmniej chciałby się ożenić, bo w takim razie… jak sądzę… pozbyłby się mnie.

Jörgen wpatrzył się w nią osłupiałym wzrokiem.

– Pozbyłby się ciebie? Ale ja sądziłem… czy on już przestał… czyż on już nie chce…

– No tak, chciałby miłostek i jeszcze coś… ale żenić się, żenić się… Ze względu na chłopca, który mnie nie lubi, przypuszcza zapewne, że nie byłabym dobrą matką dla niego… A i poza tym… przecież w leśniczówce znajdzie coś lepszego…! Taka panna, która gra na fortepianie… a tutaj biedna dziewczyna, nadająca się tylko do szorowania kuchni i zmywania talerzy!…

Zamilkła i wpatrzyła się przed siebie, wgryzając przednie zęby w dolną wargę i litując się sama nad sobą. Nieraz ogarniało ją to uczucie i świadczyło, że nie była pozbawiona wyobraźni.

Oboje milczeli.

Słychać było tylko stukanie drewnianej łyżki po talerzu i głuchy hałas obracającej się osi. Jörgen powstał i nasypał zboża w koryto.

– Hm… więc tak!… Cóż stąd wyniknie, Lizo?

Zuchwale odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się, błyskając bielą zębów.

– Oho, jeszcze ja go trzymam za kołnierz!

Potem znowu spuściła oczy i zaczęła kciukiem rysować coś na mącznym pyle.

– Najgorsza przeszkoda to chłopak… Jak gdyby się diabeł zawziął, ten brzdąc nie opuszcza ojca ani na chwilę, tak że ani rusz się dobrać do niego. I wiecznie gapi się na człowieka swymi wielkimi, niechętnymi ślepiami… Kupiłam mu przecież

ślazowych cukierków, wycerowałam mu pończochy, kupiwszy za własny grosz wełny… Kiedy piekę pączki, przywołuję go zawsze i daję mu jeden lub dwa jeszcze gorące, wprost z rondla… Cóż robić, na Boga, żeby mnie polubił?

Jörgen rzucił szuflę na wielką kupę zboża, wpakował ręce do kieszeni i przybrał ważną i nauczającą postawę, zamierzając wytoczyć głębokie, świadczące o niezwykłej znajomości ludzkiej natury argumenty.

– Nie, Lizo, to się psu na budę nie zda. Oto, co ci powiem: gdyby był starszy o dziesięć lat, mogłabyś go, mówmy otwarcie, owinąć naokoło palca, tak jak nas wszystkich… Ale w takim wypadku nie tędy droga.

Liza potrząsnęła głową, uśmiechając się lekko i przytwierdzając słuszność uwagi Jörgena. A do złości wywołanej tym, że chłopiec nie poddawał się jej wpływom, przymieszała się pełna zadowolenia duma, że tak bezwzględnie przyznają jej panowanie nad wszystkim, co osiągnęło męską dojrzałość.

– Głupie gadanie! Pomógłbyś mi raczej i spróbowałbyś coś wymyślić… Bo coś trzeba wymyślić… – dodała gwałtownie, przepojona świadomością, że każdego człowieka można kupić za jego cenę, jeżeli się tylko zna tę cenę.

Jörgen podrapał się za uchem.

– Nie wiem… ale może byłoby najlepiej… nie, to na pewno głupie.

– Tak, prawdopodobnie – zaśmiała się Liza, opierając się na dłoniach, unosząc się na worku i machając nogami w niebieskich

pończochach. – Będzie to na pewno głupie, ale mimo to gadaj.

Jörgen zerknął na piękne nogi gnące się miękko i pieszczotliwie. Bardzo chętnie dałby jej dobrą radę.

– To tylko… przyszło mi na myśl… że Janek bardzo lubi Kara…

– Ach tak! I sądzisz, że powinna bym okazywać życzliwość temu kundlowi?

– Tak sądziłem… ale to oczywiście bardzo głupie…

– Nie, na Boga, wcale niegłupie… to dobra droga!

Parokrotnie skinęła głową z namysłem.

Jörgen, zaskoczony tym uznaniem, przysiadł na worku i pogwizdując, zabrał się do czyszczenia i nabicia fajeczki.

– Nie gwiżdż! Siedź spokojnie! – zawołała niechętnie Liza. Zacisnęła wargi i zmarszczyła czoło. Wyglądała bardzo zabawnie, pogrążona tak w głębokim namyśle. – A oprócz tego, Jörgenie – oświadczyła wreszcie swobodnym głosem jak ktoś, kto rozwiązał pomyślnie trudny problem – a prócz tego namówię mego brata, Peera, aby zastrzelił Jenny.

Jörgen wpatrzył się w nią wielkimi, głupawymi oczami, a potem wybuchnął głośnym śmiechem, sądził bowiem, że jest to bez wątpienia tylko dobry żart.

– Czemu się śmiejesz głupio?

– No, bo co to właściwie znaczy? – pytał zakłopotany. – Cóż ci pomoże, jeżeli to zwierzę przestanie żyć?

Liza spojrzała przelotnie na niego, spojrzała ku drzwiom i wydęła pogardliwie usta. Nie zaszczyciła go inną odpowiedzią,

tym więcej, że trudno było odpowiedzieć cokolwiek. Jakże wytłumaczyć temu tumanowi, że w jej dzikiej, pierwotnej wyobraźni kobiecej, niepowstrzymywanej żadną zaporą rozumu, niekrępowanej żadnym łańcuchem logicznego myślenia, wytworzyło się z jakąś elementarną siłą wyobrażenie o istnieniu tajemniczej łączności między oswojoną łanią i jej właścicielką. Stąd zrodziła się myśl, że zabicie zwierzęcia ugodzi w jego panią i przełamie władną moc, jaką posiada nad młynarzem. Albowiem nie było to całkiem tak, jak powiedziała Jörgenowi, mianowicie że wedle jej przekonania młynarz chce tylko dlatego poślubić Hannę, aby się pozbyć jej samej. Chociaż nie wierzyła, że młynarz jest w tamtej naprawdę zakochany, to jednak obawiała się poważnie swej rywalki i sądziła, że młynarz podlega jej wpływom; wietrzyła w tym czary wręcz przeciwne jej własnym, coś niby białą magię, jak to określano niegdyś, podczas gdy ona sama była niejako przedstawicielką czarnej magii, mając krwawookiego kocura jako swego *spiritus familiaris*[11]. Teraz dobry duch, obrońca Hanny, pokorne, trwożliwe zwierzątko, którego sierść pachniała trawami łąk i w którego spojrzeniu odzwierciedlały się cieniste stawy – teraz ten pomocnik czarów został skazany na zagładę, a wówczas… okaże się… i może jednak!…

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Liza pogrążyła się w

[11] *spiritus familiaris* (łac.) – duch służebny; występująca w rozmaitych wierzeniach istota sprowadzona poprzez działanie magiczne i służąca swemu panu (pani) do uzyskania konkretnych nadnaturalnych umiejętności. [przypis edytorski]

myślach, których nie potrafiłaby wyrazić słowami. Jörgen dręczył swój biedny mózg, aby odgadnąć, jaką korzyść osiągnie Liza dzięki zastrzeleniu Jenny. Zapomniał całkiem o zapaleniu fajki i przez długą chwilę nie było nic słychać, prócz szumu młyna, dzisiaj tak przygłuszonego, że nie potrzebowali rozmawiać zbyt głośno, aby się zrozumieć.

– Jenny ma obróżkę… z srebrnym okuciem… które błyszczy w blaskach księżyca… dzwoneczki dzwonią…

Jörgen zerknął ku niej; niesamowity wydawał mu się ten krąg wyobrażeń, w którym tak długo z uporem się pogrążała, a którego on zgoła nie rozumiał. Widział, że była piękna. Nie tak jak zwykle: coś obcego i nienaturalnego promieniowało z jej istoty. Twarz miała uduchowiony wyraz, przede wszystkim zaś malowały się na niej złe zamysły – panienka Metta!

Nie mógł odwrócić od niej oczu.

Czerwona zorza wieczorna zalewała coraz bardziej i bardziej wnętrze; przerywały ją cienie regularnie obracających się skrzydeł, a cienie te przebiegały również po twarzy Lizy. Twarz jej w pełnym blasku nabierała ciepłych i pociągających barw, w cieniu wydawała się coraz groźniejsza. Maleńki skrawek nieba, widoczny przez otwarte drzwi, był ołowianoszary. Na zapylonej mąką galeryjce ukazały się ciemne plamki, słychać było lekkie stukanie, jak gdyby chrząszcze obijały się o deski.

Liza rozglądnęła się i wstała.

– Byłam przekonana, że deszcz będzie dzisiaj padać… Spojrzyj tylko, jak mnie urządziłeś! – dodała, spoglądając po

sobie. – Jeżeli tak wyjdę na deszcz, suknia zniszczeje.

Jörgen podskoczył ku niej i zaczął oczyszczać rękami jej suknię. Uderzyła go po palcach.

– Dużo to pomoże! Trzeba wziąć szczotkę.

– Szczotka jest na dole w izbie.

– No, to chodź!

Wzięła talerz stojący na skrzyni i zeszła po schodach w towarzystwie Jörgena.

W izbie czeladnej Jörgen bardzo starannie oczyścił jej suknię i badawczo obejrzał swoje dzieło, by się przekonać, czy nie pozostał gdzie mączny ślad jego zuchwałego uścisku. Nagle głowa jej pochyliła się naprzód, poczuł na wargach pocałunek.

Jörgen stał bez ruchu. Był zdumiony, a jednocześnie nie śmiał objąć jej ramionami, aby nie powalać jej mąką i nie narazić się na jej niezadowolenie.

– Tak! Teraz nie będziesz już zazdrościł młynarzowi… dostałeś więcej niż on! – powiedziała i skoczyła prosto w bramę, gdzie omal nie przejechał jej wóz nadjeżdżający kłusem.

Chrystian z trudem zatrzymał konie, gdy Liza wypadła nagle jak z armaty i wrzeszcząc, przycisnęła się do muru, przytrzymując silnie suknię, by ją uchronić przed rozdarciem, bo orczyk niemal otarł się o nią.

– Hola! A to ci się spieszy! – zawołał Chrystian.

– Zawsze się spieszę… I gdybym była woźnicą, to te grube gniadosze inaczej by chodziły.

– Teraz szły chyba całkiem dobrze?

– Ha, nie mogłeś ich utrzymać, bo poczuły stajnię… Ładny woźnica!

– Ładny…. oczywiście! Dobrze gadasz… ale czy całkiem szczerze, Lizko?

Liza zagryzła wargi i wpatrzyła się hardo w rumianą, piegowatą twarz śmiejącą się do niej z wozu. Wiedziała, że Chrystian kocha się w niej bez pamięci, tak samo jak młynarz i Jörgen. Ale zuchwały parobek udawał zawsze z powodzeniem przewagę, dawał do zrozumienia, że to ona właściwie za nim ugania. To złościło ją, zwłaszcza w tej chwili, kiedy Jörgen stał w pobliżu i słyszał każde słowo.

– Zarozumialec! Przepuść mnie teraz!

Stała rzeczywiście jak uwięziona. Konie wysunęły się naprzód, tak że orczyk dotykał prawie muru. Co prawda przejście w tył było swobodne, ale czy wypadało zawracać, wchodzić w deszcz i błoto?

Tupnęła nogą.

– Cofnijże konie! Chcę przejść!

On zaśmiał się tylko i rzekł:

– Pomóż mi raczej wywindować kilka worków.

– Ja? Czy sądzisz, że nie mam nic innego do roboty?

– To pójdzie raz, dwa, trzy… Będziesz przymocowywać hak do worków, a to chyba, na Boga, niecięższa praca.

– No tak… ale prędko.

Oparła nogę na kole i z kocią zręcznością wdrapała się na wóz, nie przyjmując pomocnie wyciągniętej ręki Chrystiana, który

usłyszawszy jej zniecierpliwione słowa: „Dalej do roboty!” – zeskoczył z drugiej strony wozu.

Zaledwie zamknęły się za nim drzwi młyna, Liza uchwyciła cugle i zacięła biczem konie, tak że jednym skokiem wypadły z przejazdu, kierując się ku stajni. Ona jednak z całej siły skróciła cugle i przymusiła je do przeciwnego nieco sztuce powożenia zwrotu, pojechała na prawo pod drzwi kuchenne i zeskoczyła na ziemię.

Chrystian pobiegł na schody tak gorliwie, że nie słyszał nic. Toteż niemało się zdumiał, gdy otworzywszy lukę i spuściwszy linę – ujrzał nagle na dole tylko gołe kamienie.

– Tam do diabła!

Pochylił się ku otworowi, ale nie dojrzał ani wozu, ani Lizy. Zobaczył natomiast Jörgena, który szeroko rozstawiwszy nogi, stał przed izbą czeladną i uśmiechał się ironicznie.

– Wracaj, Chrystianie, i podjedź tu wozem. Pomogę ci wciągać worki. Dla nas ta praca jest bardziej odpowiednia.

– Dzięki za przejażdżkę, Chrystianie! – zawołała Liza z kuchennych drzwi.

Chrystian spąsowiał jak indyk – ponieważ tak niecnie zadrwiono z niego, a głównie z tej przyczyny, że, jak się przekonał, Jörgen tkwił w izbie, skąd Liza wyskoczyła na łeb na szyję. Najwidoczniej coś zaszło między nimi!

VI

W tym samym czasie młynarz wraz z Jankiem siedzieli przy zastawionym stole w rodzinnym domu Chrystyny.

Świetlica – jak zazwyczaj w dworach Falsteru – nie przypominała niczym izby chłopskiej, przeciwnie, sprawiała wrażenie dużego, szablonowo urządzonego, małomiasteczkowego pokoju. Otyła gospodyni domu nie przynosiła mu również ujmy strojem, który nie miał bynajmniej wiejskiego charakteru i który mógł równie dobrze okrywać wdzięki jakiejś żony kupca. Co się tyczy pana domu, Smoka, to i on także ani myślał upodabniać się do chłopa, ubranie jego było najzupełniej odpowiednie dla proprietera[12], którym to tytułem niejeden człowiek starał się pozyskać jego łaski. Miał na szyi biały, lecz brudny kołnierzyk i niebieski krawat, zamierzał nawet przyozdobić przeguby rąk parą mankietów, ale niebawem zrezygnował z tych krępujących ruchy obroży. Jedyna obca w tym rodzinnym gronie osoba, chłopka mieszkająca w sąsiedztwie, była ustrojona nie mniej nowocześnie: nawet głowę ozdobiła barwną grzędą sztucznych kwiatów. Nie zdjęła wcale kapelusza, bądź dlatego, że ta nowa ozdoba głowy szczególnie się jej podobała i nie chciała się z nią rozstać, bądź też dlatego, że obawiała się wbrew wszelkim namowom zachować

[12] *proprieter* – proprieterem nazywa się w Danii właściciela majątku średniej wielkości, w odróżnieniu od małorolnego wieśniaka. [przypis tłumacza]

się zbyt poufale, siedząc z gołą głową. Toteż zadowoliła się tylko rozwiązaniem wstążek, wyzwalając podwójny podbródek, na którym widniały jeszcze wyraźnie ślady skrępowania. Mimo tej obfitości ciała w dolnej części głowy, twarz jej była raczej chuda i pomarszczona, z cienkim nosem pośrodku. Tę małą, niepozorną chłopkę nazywano powszechnie Zającą Wdową, ponieważ osada, gdzie mieszkała, miała od niepamiętnych czasów nazwę Zającego Dworu.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, купив полную легальную версию на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.